MIECZYSŁAW HR. REY

BORATYŃSCY

DRAMAT W TRZECH AKTACH

Brody — Lwów.
Skład w księgarni Feliksa Westa.

TARNOPOL 1912 :: NAKŁAD AUTORA

ODBITO W DRUKARNI STANISŁAWA KOPACZA W RAWIE

BORATYŃSCY

MIECZYSŁAW HR. REY

BORATYŃSCY

DRAMAT W TRZECH AKTACH

TARNOPOL 1912 :: NAKŁAD AUTORA
ODBITO W DRUKARNI STANISŁAWA KOPACZA W RAWIE

OSOBY:

P. JAN, kupiec
FRANCISZEK ROGOSZ, jego buchalter
JAN BORATYŃSKI
KRAŃSKI
MÜLLER von ANNAFELD
LUDWIK BOŃCZA
REJENT
ŁUCYA KRAŃSKA
MARYA BORATYŃSKA, jej córka
MALWINA
HRABINA JANINA BRODECKA
PANI LADERSKA
ZONIA, jej córka
LUCYAN
KALASANTY
PREZES SĄDU
DR RALSKI
PROFESOR
URZĘDNIK z banku
GOŚCIE na balu u pani Krańskiej

Rzecz dzieje się w Warszawie.

Akt I.

Kancelarya pana Jana w Warszawie. Na boku pulpit, szafy z księgami. Umeblowanie skromne, ale dostatnie. Biuro a przed niem fotel, z drugiej strony kanapka z małym stoliczkiem i parę foteli i krzeseł; drzwi na prawo, lewo i od frontu.

SCENA PIERWSZA.

We fotelu siedzi JAN przed biurem. Naprzeciw niego FRANCISZEK ROGACZ, buchalter. Jan człowiek 67-letni z brodą pół krótką, włosami średnio długimi, nad czołem podnoszącymi się i w tył zaczesanymi. Siwy, poważny ze smutkiem w oczach i twarzy. Franciszek równy mu wiekiem, szpakowaty.

FRANCISZEK *(składając księgę rachunkową).* Zatem bilans noworoczny świetnie się przedstawia. Majątek firmy 800.000 tysięcy rs., a zlikwidowane z tego w gotówce 400.000. Te dwa lata w Warszawie bardzo były pomyślne dzięki zapobiegliwości pana Szefa i stosunkom handlowym z całą Rosyą. Gdy przed dwoma laty opuszczaliśmy Moskwę, bilans zamykał się pół milionem.

JAN. Bóg poszczęścił naszej ciężkiej pracy! Gdyby to obywatelstwo nasze wzięło się do handlu, mądrze

umiało wykorzystać to tak niezmiernie sprzyjające położenie Warszawy pomiędzy wschodem a zachodem, jakież to bogactwa zostałyby w naszych rękach! Jakby to kraj i ludzie wzbogacili się! A przecież pieniądz stanowi siłę narodu; z bogatymi liczyć się trzeba, z biednymi nikt się nie rachuje.

FRANCISZEK. Mieszczaństwo trochę się tam teraz ruszać zaczęło, ale szlachta trwa w swych wiekowych uprzedzeniach. Nie jeden tak, jak pan, dorobiłby się fortuny, zaś trzymając się starego trybu życia, wegetuje jeno na swym zagonie.

JAN. Ziemia, mój przyjacielu, jest podstawą wszystkiego, ziemi nikomu porzucać nie wolno, ale czyż zamiast się nią dzielić w nieskończoność, nie wolałby ojciec rodziny, mający na przykład trzech synów, jednego pozostawić przy ojczystym zagonie, a dwóch wdrożyć do handlu i przemysłu! — Ale słusznie powiedziałeś, tradycya i uprzedzenia nie licujące z obecnością, trzymają tę resztkę szlachty naszej li tylko przy roli, gdy obcy ludzie zagarniają olbrzymie zyski z pogardzonych u nas dotąd źródeł bogactwa narodowego. Może się to zło powoli zmieniać będzie.

FRANCISZEK. Daj Boże! ale daleko jeszcze do tej pożądanej zmiany w duchu narodu.

JAN. Widzisz, tradycya jest zawsze najsilniejszą więzią. Ona niewoli ludzi, pomimo że rozum inaczej radzi i nakazuje. Ona jest potęgą tak w dobrem, jako również potężną przeszkodą postępu rozsądnego. — Trzeba odwagi, trzeba silnej woli, aby przerzucić się na inne tory, jak te, po których się szło od wieków, aby śmieć się przerzucić bez względu na opinię najbliższych. — Czy sądzisz, że znajdzie się u nas wielu młodych ludzi z historycznych rodów,

którzy mieliby podobną odwagę wobec najbliższych, wiernych przestarzałej tradycyi? Bo nadto trzebaby w takim razie zmienić nie tylko pojęcia, ale i tryb życia, zajęć i stosunków, wdrożyć myśl w zupełnie innym kierunku i stykać się ciągle elementem innym, dotąd za niższy uważanym. Może mężczyźni uczyniliby tak, ale kobiety im nie dadzą. — Kobieta jest sto razy więcej konserwatywną od mężczyzny, bo mniej zdolną do logicznego myślenia i bojaźliwszą, a z braku samodzielności przyrodzonej płci słabej, trzyma się tem silniej tradycyi. — Kobieta odgrywa w społeczeństwie olbrzymią rolę, to też takim jest naród, jaką jest w nim niewiasta; i tak było przez wszystkie wieki. *(Po chwili).* Co ty sądzisz o naszych dwóch młodzieńcach? Co z nich będzie? Oni pod twą ręką pracują.

FRANCISZEK. Obydwa mają zacne serca i dusze piękne, ale Jaś jest silniejszy wolą i duchem, pracowity a nawet powiem, że zamiłowany w naszej pracy. Ludwik Bończa zaś czyni wprawdzie wszystko dokładnie i chętnie, ale serce jego, gusta i przywyknienia ciągną go do roli i mnie się zdaje, że on jedynie na roli będzie prawdziwie czuł się szczęśliwym.

JAN. Mnie też się tak zdaje. Kupcem on nigdy nie będzie z zamiłowania. Trudno jest narzucać komuś szczęście wedle naszej myśli. Człowiek może być szczęśliwym tylko wedle swych własnych pojęć i gustów. To też myślę dla Ludwika o innym zawodzie, jego sercu więcej odpowiadającym.

FRANCISZEK. I dobrze robisz, Janie, bo ten chłopiec wart szczęścia. Nic złego, nic poziomego niema w jego duszy, a ciebie on kocha jak ojca rodzonego.

JAN. Nim mu też jestem w sercu mojem. Nie tylko, że ojca jego serdecznie kochałem, ale i jego osobiście cenię i kocham niemal zarówno z Jasiem. Dobre dzieci, bardzo dobre i będą z nich mężowie dzielni, pożyteczni krajowi, byle każdemu z nich dać odpowiednie pole działania.

FRANCISZEK. Muszę jeszcze załatwić przesyłkę skór i futer przysłaną nam z Syberyi. Pyszne futra, część ich wyślę do Lipska, resztę rozdzielę wedle zamówień pomiędzy Anglię i Niemcy.

JAN *(kładzie mu rękę na ramieniu)*. Kochany Franciszku, teraz myślimy, jak innym przyjść z pomocą i to właśnie najcenniejsze, jedyna nagroda za tyle boleści, męki, łez, życia w nędzy, upokorzeń, a potem pracy niemal nad siły. — Bóg dobry i przetrwać dozwolił te 14 lat, z których 10 okropnych fizycznych i moralnych katuszy. Bóg dobry!

FRANCISZEK. Tak, Bóg dobry był i dla mnie, że mi dozwolił spotkać cię w tem ziemskiem piekle, że podniosłeś ducha mojego, nadzieję wzbudziłeś w sercu, a w końcu oswobodziłeś. Bóg, ale i tyś dobry.

JAN. Przeszłość nas złączyła, a przyszłość nie rozdzieli! *(Ściskają się)*. Idź już do biura, bo i ja mam dużo roboty. *(Franciszek odchodzi)*. Przyślij mi obu młodych, naprzód Ludwika.

SCENA DRUGA.

(LUDWIK, 26-letni, przystojny, wchodzi).

LUDWIK *(całuje Jana w rękę)*. Chciałeś mówić ze mną dobry mój panie, a jak spałeś?

JAN. Dobrze mój chłopcze, jak zwykle śpi się po pracy z czystem sumieniem. Powiedzże, jak tobie podoba się twoja robota? Czy jest ona w twoim guście?

LUDWIK. Bardzo nawet. Czuję się tak szczęśliwym, że mnie pan jeszcze w Moskwie przytuliłeś do siebie i jesteś tak bardzo dobrym dla sieroty, pozbawionego wszelkiej opieki.

JAN. Wszak wiesz, że ojciec twój był mi przyjacielem, więc synowi chcę płacić przyjaźnią za ojca.

LUDWIK. Twoje panie szlachetne serce tylko samo dobro sieje w około.

JAN. Przynajmniej chciałbym, aby tak było! Ty Ludwiku wychowany na wsi przy roli, powiedz szczerze, czy biurowa praca w domu handlowym zadawalnia cię zupełnie?

LUDWIK. Któż na tej ziemi może się czuć zupełnie zadowolonym, ale o ile jest to możebnem naturze ludzkiej, ja nim jestem.

JAN Ale powiedz, cobyś wolał, czy wielki zysk w handlu, czy skromne nadzieje przyszłości materyalnej przy gospodarstwie rolnem?

LUDWIK. Panu, tak dobremu i łaskawemu dla mnie, powiem prawdę, że czasami nawet i przy biurowej pracy i pomimo mej woli, porywa mnie tęsknota za szerokiemi polami, za lasami szumiącymi, za tą całą Bożą przyrodą, że wtedy i robota gorzej idzie, bo jeno to obrazy przestrzeni słońca, pracy rolnika tłoczą się przed oczy moje, ale to rychło przeminie. Jeszcze lat kilka, a zatrze się w mojej pamięci dzieciństwo i młodość spędzona w Jarołówce. Nawet teraz mniej mię nęcą te obrazy.

JAN. Dla czego teraz?

LUDWIK. Od czasu, jak przyjaciel moich lat młodych, Jaś, jest tutaj, jeszcze milej mi życie płynie.

JAN. Wiem, że byliście razem w szkołach, a Jarołówka sąsiadowała z Krasnogrodem.

LUDWIK. Tak, to było najmilsze nasze sąsiedztwo i tam też bywałem, jak najczęściej mogłem.

JAN. A jakież było pożycie tych Krańskich?

LUDWIK. Pani poczciwa, ale tak przez męża zahukana, że tylko jego wolę czyni i jego kaprysom dogadza, mało dbając o dzieci i majątek, który jest ich po ojcu, to też wszystko idzie w ruinę.

JAN. A córka?

LUDWIK. Panna Marya to anioł w ludzkiem ciele. Cierpliwie znosi gburowatość tego człowieka, a często i niesprawiedliwość swojej matki, która poza tym mężem hulaką nic nie widzi! — A dziwna rzecz, bo pierwszy jej mąż hrabia Boratyński miał być jednym z najdystyngowańszych ludzi. Lecz gdy związek małżeński prawnie rozerwany został przez skazanie hrabiego na 30 lat ciężkiego więzienia, pani Łucya w pięć lat potem zakochała się w tym pędziwiatrze, o wiele od niej młodszym i wyszła za niego.

JAN *(z westchnieniem)*. To smutno, że u kobiet tak krótka bywa pamięć i tak zimne serce. O hrabim w tych czasach nic już nie słyszano?

LUDWIK. Wiadomość z Nerczyńska nie przychodzi nigdy. Kto wpadł w tę otchłań, tego już niema.

JAN *(smutnie)*. Tak, tego już niema! Teraz widujesz często tę rodzinę?

LUDWIK. Rozumie się, że bywam u nich z Jasiem, a i panna Marya często do brata przychodzi i do pana, którego wraz z nami bardzo pokochała.

JAN. Dobre dziecko, kocham ją, jakby mi była najbliższą!

LUDWIK. Ależ panie, takiej drugiej istoty chyba niema na świecie!

JAN. Ja to dawno widzę, że ty chłopcze patrzysz na nią, jak na święty obrazek.

LUDWIK. Czyż można dziwić się temu? Od dziecka przywykłem czcić ją jak świętą.

JAN. Może ta cześć jeszcze z czem innem jest zmieszana? Powiedz prawdę przedemną.

LUDWIK *(zmieszany, ale rychło opanowuje to pomieszanie)*. Przed panem, który jesteś mi więcej niż ojcem, nie mam powodu ukrywania się, ani wstydu, że tę anielską istotę kocham od bardzo dawna.

JAN. A ona?

LUDWIK. Czyż ja człowiek bez pozycyi i majątku mogę pomyśleć o niej? — Wszak byłoby podłością z mej strony starać się rozbudzić w panience i tak już nieszczęśliwej wzajemność beznadziejną. Wszak kochany pan tak znowu źle o mnie nie sądzi?

JAN *(całując go w głowę)*. Poczciwy z ciebie chłopiec. Poczciwość Bóg czasem nagradza, a ojciec twój, oddając ducha na mych rękach w Jarosławiu, powiedział mi, prosząc mnie o zaopiekowanie się tobą: jak poznasz Ludwika, przekonasz się, że to uczciwy chłopiec, któremu warto podać rękę pomocną.

LUDWIK. Biedny mój ojciec! Dziesięć lat mija, jak go raz ostatni widziałem; zaś w ostatnim liście, chowanym przezemnie jak relikwię, napisał mi:

„Zostawiam cię łasce Bożej i przyjaciela Jana. Gdybyś niecnym czynem lub myślą nawet splamił nazwisko nasze, umarłbym raz wtóry i duch ojca twego przestałby być twoim aniołem stróżem!“

Nie, duch ojca pozostanie zawsze przy mnie! Tak sobie przysiągłem i tak dotrzymam, choćby serce moje miało pękać sto razy i sto razy miałbym umierać.

JAN. Bóg cię nagrodzi!

(LUDWIK zabiera się do wyjścia).

SCENA TRZECIA.

(MARYA otwierając drzwi w połowie, za nią też wchodzi i JAŚ BORATYŃSKI).

MARYA. Czy wolno kochanemu panu powiedzieć dzień dobry?

JAN *(zrywając się radośnie).* Wolno i zawsze wolno i zawsze z radością witam pannę Marynię.

MARYA. Znowu „pannę“, a przyrzekł mi pan przedwczoraj, że już tej „panny“ nigdy nie usłyszę.

JAN. Zapomniałem, dzieweczko miła. *(Do Jasia).* Jak się masz Jasiu?

JAŚ *(całując go w ramię).* Marynia tak rano powracając z kościoła, wpadła do nas.

LUDWIK. Dzień dobry pani! *(Podaje jej rękę. Przez ten czas Jaś mówi z Janem cicho).*

MARYA. Dzień dobry panu! A wiesz pan, że u nas jutro bal będzie. Do jakiego tańca zamawiasz mnie pan?

LUDWIK. Jakiego pani raczy mi dać łaskawie.

MARYA. Muzurka pierwszego. Dobrze?

JAN. Bal u was jutro?

MARYA. Pewnie ojciec przyjdzie prosić pana. Przyjdź pan proszę i zrób raz wyjątek ze swoich zwyczajów odludnych. Pięknie proszę.

JAN. Wiesz dziecino, że ja stary nigdzie nie chodzę, a zabaw unikam. Co tam byłoby po starcu? Zresztą nieznany jestem Matce waszej.

MARYA. Mama tyle ma dla pana wdzięczności za Jasia, że bardzo pragnie go poznać.

JAN. Może kiedyś przedstawię się Mamie, ale nie jutro. *(Do Ludwika).* Zobacz, czy ajent nie przyszedł!

LUDWIK. Idę. Do widzenia jutro panno Maryo. *(Wychodzi).*

MARYA. Do widzenia!

SCENA CZWARTA.

MARYA *(do Jana).* Tak się w kościele gorąco modliłam za mojego tatę. Tak bardzo prosiłam Boga, abym go jeszcze kiedy zobaczyła, że może Bóg wysłucha próśb moich, bo Bóg jest dobrym. Prawda panie?

JAN. Bóg jest ojcem wszystkich ludzi i słucha próśb z serca płynących, więc może i ciebie wysłucha Maryniu. *(Siada na kanapie i pociąga Maryę, aby siadła obok niego). (Do Jasia).* Siadaj Jasiu tu! *(Pokazuje fotel na lewo siebie).*

MARYA. Dobry, kochany panie. Powiedz mi pan, jak się to dzieje, że ja, która tak mało mogę pamiętać tatę, tak bardzo go kocham? Od czasu, jak Jaś jest u pana, a ja niemal codziennie wpadam do niego i do pana, jakoś życie stało mi się milszem. Może dla tego, że mi pan tyle o tacie opowiada, że choć się często spłaczę nad jego dolą straszną, to te łzy nie są mi gorzkie, ale słodkie nawet.

JAN. Dobre, kochane dziecko! *(Głaszcze ją po głowie).* Wasz ojciec też całą niezmierzoną miłością kochał was, a myśl jego nieustannie była przy was.

JAŚ. Ja bo pamiętam trochę ojca, ale przez lat tyle obraz jego zatarł mi się w pamięci. Kocham go zawsze i dałbym życie moje, aby go zobaczyć, jeżeli tylko żyje jeszcze, a tego pan nie wiesz.

JAN. Lat sześć, jak wyjechałem z Syberyi.

MARYA. Mnie tak nieraz męczy pragnienie opowie-

dzieć mamie to, co wiem od pana o tacie, ale nie kazałeś mówić, więc milczę.

JAN. Nie mów dziecino, bo zrobiłabyś tem wielką boleść mamie, wszak to rozumiesz.

MARYA *(z westchnieniem)*. Niestety masz pan słuszność. Mamę musiałyby strasznie boleć te szczegóły życia i męki biednego taty, a ona i tak czasami gorzko płacze, gdy ją nikt nie widzi.

JAN. Ty Jasiu, czy znasz przyczynę tych łez matki.

BORATYŃSKI. Mogę się tylko domyślać, że ten przeklęty człowiek jest przyczyną łez matki. Stosunki majątkowe stają się coraz gorsze. Pan Krański najczęściej nad ranem dopiero powraca do domu, a i jego widoczna niechęć do nas boli mamę. Nieraz chciałaby stanąć w naszej obronie, ale nie śmie, zresztą to zaślepienie miłości do tego człowieka czyni ją bezwolną jego niewolnicą. — Ja głównie dla tego tak chętnie korzystałem z łaski pana i zupełnie przeniosłem się do pana, bo już nie mogę patrzeć spokojnie na to zaślepienie biednej matki.

JAN. Żalu broń Boże nie miejcie do niej, boby się takowy nie godził ze szlachetnem sercem waszem. Wszak to matka i kochać ją winniście, bo i ona was kocha.

MARYA. Oh! niezawodnie mama nas kocha i my ją serdecznie kochamy, ale tem bardziej bolejemy nad nią, że tak nieszczęśliwie związała się na całe życie.

JAN. Nad rzeczą niecofnioną nie trzeba się rozżalać, ale ją przyjąć jako zrządzenie Boże i z niem się godzić nakazuje rozsądek, jak w tym razie i poczciwość wasza dla matki.

SCENA PIĄTA.

Ciż i LUDWIK wchodzi.

LUDWIK. Właśnie pan Krański nadszedł i chce się widzieć z panem.

JAN. Dobrze! Zaraz! *(Do Boratyńskich).* Wy dzieci przejdźcie tędy *(pokazuje im drzwi na lewo. Całuje Maryę w głowę).* Bądź zdrowa, dziecino kochana, a matkę kochaj i szanuj!

MARYA. Ja ją też kocham bardzo. Do widzenia kochanemu panu. Jutro wpadnę rano do Jasia i do pana *(odchodzą na lewo).*

SCENA SZÓSTA.

JAN *(do Ludwika).* Proś tego pana! *(Ludwik odchodzi).*

JAN *(do siebie, podnosząc rękę za odeszłymi Boratyńskimi).* Boże błogosław im! Boże daj im szczęście! *(Siada przy biurze).*

SCENA SIÓDMA.

(Wchodzi KRAŃSKI, mężczyzna 39-letni, przystojny, elegancko ubrany, z długą brodą).

KRAŃSKI *(kłania się z uprzejmą bardzo miną).* Buchalter pana żądał jego rachunku w naszym banku, więc wolałem go sam przynieść, bo dział wekslowy jest w mojem biurze. *(Podaje mu rachunek).* Wszystkiego mamy 5.000 rs. weksli szanownej firmy pana.

JAN. Dziękuję panu, ale nie warto było panu samemu się fatygować.

KRAŃSKI. Przy tej sposobności chciałem prosić pana, czybyś nie raczył przyjść do nas jutro na wieczorek mały. Moja żona bardzo pragnie poznać pana i podziękować mu za łaskę jego dla Jasia.

JAN. Kiedyś będę miał zaszczyt przedstawić się pani Krańskiej, ale wybacz pan, że jutro nie będę mógł służyć państwu.

KRAŃSKI. Bardzo żałujemy, ale prosimy pamiętać, że kiedy pan tylko raczysz przyjść do nas, w każdej chwili i godzinie będzie nam go miło powitać.

JAN. Dziękuję!

KRAŃSKI. Słyszałem, że szanowny pan masz zamiar kupienia ziemskiego majątku, a nawet i Jaś mi o tem mówił, więc też proponowałbym panu kupno Rożyczkowa.

JAN. Ah! Rożyczków chcecie państwo sprzedać?

KRAŃSKI. Od roku przeniósłszy się do Warszawy, dogodniej nam jest odsprzedać ten majątek od Krasnogrodu, bo pan rozumiesz, choć nie jesteś rolnikiem, jak trudno utrzymać duży majątek w porządku, gdy się w nim nie mieszka. Ja przyjąwszy posadę trzeciego dyrektora w banku naszym, wolę kapitał umieścić w akcyach banku, przynoszących do 8%, niżeli zadowalniać się jak obecnie bardzo niską rentą z ziemi. — Zresztą kraj potrzebuje rozwoju przemysłu i handlu, a zatem i finansowych instytucyj. Że chcemy sprzedać część ziemi, robimy niejako ofiarę dla dobra kraju, aby kapitałem naszym choć w cząsteczce przyczynić się do wzmożenia działalności banku, tak niezbędnego dla popierania ekonomicznego rozwoju.

JAN. O ile słyszałem, to cały Krasnogród a zatem i Rożyczków, ma być własnością dzieci pani Krańskiej, więc może jakie trudności natury prawnej staną na przeszkodzie temu zamiarowi pana, ale zapewne musiałeś je pan usunąć.

KRAŃSKI. Tak, tak, pewne trudności być mogą, ale się je usunie. Moja żona jest opiekunką małoletnich

dzieci, no i ja przecie mam jakiś głos w tej sprawie, więc trzeba tylko wytłumaczyć sądowi, że sprzedaż będzie dla małoletnich korzystna.

JAN. Zapewne, ale jak to pan zamierzasz uczynić? Ja może wszedłbym w ten interes, gdyby te trudności usunięte być mogły!

KRAŃSKI *(przysuwając się do Jana, mówi konfidencyonalnie)*. Widzi pan dobrodziej, interes jest dla kupującego świetny, bo Rożyczków wart jest co najmniej pół miliona, a mybyśmy go sprzedali nawet za 400.000 rs. i właśnie pan nam możesz dopomódz w uzyskaniu pozwolenia sprzedaży. Kuratorem dzieci jest Dr Ralski, adwokat, a wiem, że pan dobrodziej jesteś z nim w dobrych stosunkach. Jeżeli go tedy poprosisz, i przedstawisz, że taka sprzedaż będzie dla dzieci korzystna, to on złoży odpowiednie przedstawienie sądowi, a jakoś we dwóch damy sobie radę ze sądem.

JAN. Więc za 400.000 chcesz pan sprzedać ten majątek, wartający, jak sam twierdzisz, pół miliona?

KRAŃSKI. Tak, tylko dla pana dobrodzieja.

JAN. W nadziei, że ja namówię kuratora do zezwolenia?

KRAŃSKI. Nie tylko, ale też z powodu, że majątek przejdzie w godne ręce, bo o to bardzo się nam rozchodzi. Powtarzam interes jest doskonały. Na Rożyczkowie jest 100.000 długu, co ułatwi panu kupno, a też na razie nie żądamy większego zadatku jak 40.000 rs. zaś resztę wypłaciłbyś pan, no do roku, byle zadatek mógł być zaraz złożonym.

JAN. Aże to sąd dozwolił na zaciągnięcie tego długu na majątek małoletnich?

KRAŃSKI. Widzi pan dobrodziej, musiałem poczynić wielkie wkłady w cały majątek, a lata były złe, więc

wykazało się niezbędność pożyczki i pomimo oporu kuratora sąd na nią zezwolił, a fakt ten świadczy panu dobrodziejowi, że sąd zezwoli i na sprzedaż, byle się umieć wziąć do rzeczy, a my to potrafimy, nieprawdaż? A choćby przyszło opuścić jeszcze coś z ceny kupna i na to jestem przygotowany, ale potrzebuję mieć jak najprędzej 40.000 zadatku.

JAN. A ten zadatek jest panu niezbędny?

KRAŃSKI. Tak znowu nie, ale jeśli sprzedaję tak tanio majątek, to widzi pan, chcę stratę tę zaraz powetować. Bank mój wchodzi w świetny interes, więc chcę zrobić go z nim wspólnie, wkładając w niego 40.000, które w paru miesiącach mogą się zdublować i niezawodnie zdublują.

JAN. A tak, więc dla tego chcesz pan nawet jeszcze opuścić coś z ceny 400.000.

KRAŃSKI. Właśnie, właśnie, a ostatecznie o te 40.000 zadatku zmniejszę ostatecznie cenę kupna. *(Wstaje)*. Niechaj pan dobrodziej raczy się zastanowić, że świetniejszego kupna zrobić chyba nie możesz. Więc czy pan przystajesz?

JAN. Potrzebuję parę dni do namysłu, a może i wejdę jakoś w ten interes.

KRAŃSKI. Życzę bardzo, abyś pan przystał na moje propozycye, a zobaczysz, że parękroć sto tysięcy zarobisz na tem kupnie, a przecie się takiego interesu nie odrzuca. Tylko najdalej do dwóch dni proszę o decyzyę stanowczą.

JAN. Będę się starał ją powziąć do tego czasu.

KRAŃSKI. Żegnam pana i liczę na niego! *(Wychodzi)*.

SCENA ÓSMA.

JAN sam.

JAN. Łotr! A te biedne dzieci są w jego mocy, a matka zaślepiona żadnej im nie da obrony. *(Po chwili).* Ale na co mu potrzeba tak nagle 40.000. W karty tyle teraz nie przegrał. Malwina chyba, ale i to tyle nie, zobaczymy.

SCENA DZIEWIĄTA.

Wchodzi, szeroko drzwi otwierając ZYGFRYD MÜLLER von Annafeld, człowiek 34-letni, przystojny. Wąsy małe w górę zaczesane, monokl w oku, bardzo elegancki i arogancki, mający w manierach coś semickiego.

ZYGFRYD *(idąc wolno i mówiąc głośno).* Powitać pana Jana dobrodzieja. Mojego nowego dyrektora spotkałem wychodzącego od pana w bardzo dobrym humorze. Może powiodło mu się zdecydować pana do uczestnictwa w jutrzejszym balu, co?

JAN. Raczył mnie prosić, ale ja nigdzie nie bywam.

ZYGFRYD *(rozsiada się w fotelu).* A wiem, wiem! Zapracowujesz się pan, co jest bardzo chwalebnem ale z miarą. Ja też pracuję w mojem biurze i pracuję dobrze, czego dowodem pomyślny rozwój banku, ale i zabawić się lubię. Na cóż pracowałbym, gdybym owoców mej pracy nie umiał użyć? Wszystko kochany panie w swoim czasie i w miarę iść powinno. Praca pracą, a życie i jego słodycze potem w miarę pracy. Dusigroszem nie jestem, lubię też wesołe towarzystwo naszej młodzieży, a szczególnie młode i ładne kobiety. *(Śmieje się).* To najbardziej lubię. Więc do Krańskich nie pójdziesz pan?

JAN. Nie, panie dyrektorze!

ZYGFRYD. Szkoda, bo ta mała Boratyńska jest naj-

bardziej uroczą panną, jaką znam i warto ją widzieć w balowej sukni. Warto! Adoruję ją do szaleństwa, no i zrobię z tej małej panią dyrektorową Annafeld.

JAN *(z niecierpliwością)*. Zapewne nie dla wtajemniczenia mnie w swoje projekta matrymonialne, mam zaszczyt widzenia pana?

ZYGFRYD. Tak, ale nie szkodzi, że się wygadałem. Ja sekretów nie robię nigdy z moich uczuć, ni zamiarów, bo wszystkie są dobrze obliczone. Tajemnicami otaczają się tylko ludzie niepewni ani siebie, ani tego, czego pragną. Ja idę zawsze z otwartą przyłbicą, bo się nikogo i niczego nie boję! Jak na szlachcica przystało. — Ale prawda! Jeden z naszych korespondentów pyta, czy nie mógłby dostać z Rosyi znacznej ilości futer. Więc pomyślałem, że może firma pana mogłaby mi ich dostarczyć. Czy może Krański o tem mówił z panem, bo widzi kochany pan, ja nie lubię, gdy mi się który z podwładnych urzędników wtrąca nieproszony do mego ressoru i moich naczelnych czynności. Tego nie lubię i nie znoszę nawet.

JAN. Nie panie, o tem pan Krański nie mówił nic. Przyniósł mi on tylko moje maleńkie konto w waszym banku, które wynosi 5.000 rs., bo o nie wczoraj zapytywałem.

ZYGFRYD. Otóż masz pan dowód dokładności tych szlachciców z prowincyi, wpraszających się na posady do takich jak nasze instytucyi. — On dyrektor nie wie nawet, jak konta poważnych firm są obciążone, jeżeli pan zapytywałeś się o swoje, to pan dyrektor nie powinien odpowiadać z pamięci, ale zajrzeć do księgi kontowej.

JAN. Ale to, co mi nieproszony przyniósł pan Krański,

ot ten wyciąg, jest zupełnie zgodny z rzeczywistym stanem rzeczy. *(Podaje mu konto przyniesione przez Krańskiego).*

ZYGFRYD *(oglądając papier).* Co 5.000 rubli? I to on sam za bank pisze?

JAN. Tak!

ZYGFRYD. Konto firmy formalne jest z dniem dzisiejszym zamknięte. Nie rozumiem! Bo w bankowych księgach, które codziennie przeglądam, szczególnie eskompt weksli i portfeulle, rachunek firmy pańskiej jest inny, o wiele wyższy, na dobro banku.

JAN. Jak to panie być może? Moje księgi są w porządku zupełnym, a one wykazują mój debet u was tylko na 5.000 rs.

ZYGFRYD *(po namyśle).* Zatem jesteś pan zupełnie pewnym, że oprócz weksli na 5.000 niema już innych firmy pana w naszym banku?

JAN. Ależ najzupełniej pewnym jestem i z góry uprzedzam pana jako naczelnego dyrektora, że jeżeli znajdą się jeszcze inne, to te inne są sfałszowane i przeciwko ich wypłacie z góry już teraz protestuję. Na jaką sumę opiewają te weksle?

ZYGFRYD *(do siebie).* Jan jest za poważną firmą, aby twierdził przeciwnie prawdzie, więc te weksle są sfałszowane. *(Głośno).* Sumy nie pamiętam. *(Po pauzie).* A może się i mylę!

JAN *(patrzy na niego uważnie i podejrzliwie).* Pan nie pamiętasz? I utrzymujesz teraz, że mogłeś się pomylić? A twierdziłeś tak stanowczo, że konto moje jest wyższe.

ZYGFRYD. Kochany panie Janie! *(wahającym tonem).* Myślałem o czem innem, mówiąc z panem, zatem najprędzej pomyliłem się, a może jakie inne konto

przez pomyłkę przyszło mi na pamięć. *(Do siebie).* Weksle fałszywe! Mam cię teraz i musisz tańczyć, jak ja ci zagram. Musisz, lub kryminał! *(Do Jana).* Zagadałem się z panem, a czas na mnie do biura. Żegnam kochanego pana. *(Wychodzi śpieszno).*

SCENA DZIESIĄTA.

(JAN sam przechadza się po pokoju, ciężko zamyślony).

JAN. Co to znaczy? On Müller miałby się mylić i żądać odemnie formalnego oświadczenia, że innych weksli ponad 5.000 nie przedkładałem do eskomptu? On znający na palcach interesa banku świetnie przez niego prowadzonego? To nie podobna? — Wybiegł tak prędko, zapomniawszy nawet żądać odemnie odpowiedzi na jego zapytanie o dostawę futer. Wybiegł widocznie uradowany tem mojem zapewnieniem, że weksle nie są moje. Dyrektor banku cieszy się, że wypłacono w jego banku fałszywe weksle? — Jest w tem coś nienaturalnego, coś nawet groźnego, ale co? Muszę wiedzieć prawdę, muszę koniecznie. W mojem położeniu i w mojem zadaniu niczego mi nie wolno lekceważyć. *(Dzwoni — do lokaja wchodzącego).* Proszę, aby pan Rogosz zaraz tutaj przyszedł, ale zaraz. *(Lokaj wychodzi).* Z jakiem lekceważeniem mówił on o Maryi, z jaką pewnością siebie! Szczęście, że się z mem oburzeniem nie zdradziłem. Müller na żarty nie mówi nigdy, więc będzie ją prześladował swą miłością i zamiarami; to niezawodnie. Jaka to arrogancya u tych ludzi! Ponad pieniądz nie cenią nic innego, a zdaje im się, że wszystko i wszyscy muszą ulegać ich zachceniom. Zapewne, że bogactwo jest siłą, ale są przecie i prawa etycznej natury, wobec których „Bóg dolar“ jest

bezsilny. Nie wszystkie kobiety są jeszcze do kupienia.

SCENA JEDENASTA.

Wchodzi FRANCISZEK.

JAN. Franciszku, ty znasz Brzechwę, kasyera banku, czy widujesz go często?

FRANCISZEK. Schodzimy się zwykle na obiad i gawędzimy zawsze potém z kwandrans.

JAN. Był u mnie Müller, a gdy zobaczył nasze konto z banku przyniesione przez Krańskiego, zrobił zdziwioną minę, mówiąc, że ono jest nieporównanie wyższe, a gdy mu zaręczyłem, że ponad 5.000 rs. nie mam w banku innych weksli, a jeżeli są, to sfałszowane, skręcił rozmowę na inny przedmiot i wyszedł nagle zadowolony.

FRANCISZEK. Dziwna rzecz! Müller nie zwykł się mylić w sprawach banku.

JAN. Właśnie, to też musimy się dowiedzieć, co na tem jest prawdy.

FRANCISZEK. Pójdę zaraz i zażądam pokazania mi naszego konta w księdze kontowej.

JAN. Zapewne, taka droga jest najprostsza, ale nie chcę, aby Müller wiedział, że się pytamy.

FRANCISZEK. Więc?

JAN. Rozpytaj się przy obiedzie Brzechwy, a jeżeli są jakie nasze sfałszowane weksle, dowiedz się od niego na jaką sumę, kto je dał do eskomptu, kto podniósł pieniądze i wszystko, co tylko tej sprawy tyczyć się może.

FRANCISZEK. Brzechwa jest sumienny urzędnik, więc może nie będzie chciał opowiadać mi poufnie bankowych spraw. Ale ja to jakoś zrobię i możesz być

pewnym, że po południu a najdalej wieczorem będę już wszystko wiedział.

JAN. Dziękuję ci! My na wszystko musimy być przygotowani, bo tutaj może rozegrać się jakaś tragedya i jakieś nieszczęście może grozić całej rodzinie Krańskich, a zatem i młodym Boratyńskim. Biedne dzieci! a biedna i ta kobieta! Ja muszę wyjść, więc liczę na ciebie, do wieczora. *(Odchodzi na lewo, a Franciszek na prawo).*

ZASŁONA SPADA.

Akt II.

SCENA PIERWSZA.

Elegancki salonik obok sali balowej. Na lewo dwie kanapki; jedna na boku sceny, druga mała przy frontowej ścianie. Na prawo także kanapa; wszędzie fotele, dwoje drzwi otwartych od frontu i po jednych w bokach sceny. Muzyka gra za sceną cicho, aby nie przeszkadzała mówiącym. Goście balowi to wchodzą, to wychodzą przez salonik, lub się w nim zatrzymują. Na kanapie siedzą ŁUCYA i HR. JANINA. Na lewo sceny dwóch panów starszych i PROFESOR rozmawiają i wychodzą do tańca parami, inni przychodzą. Ruch jak na balu w bocznym salonie.

HR. JANINA. Ależ śliczny bal kochana Łucyo! Co tylko posiada Warszawa najwykwintniejsze, wszystko zgromadziłaś w swych salonach.

ŁUCYA. Dużo łaskawych raczyło przyjść, tylko jeszcze księstwa Januszów i Sulimów nie widziałam dotąd. *(Wchodzi pani LADERSKA).*

ŁUCYA *(powstając).* Witam łaskawą panią, a śliczna Zonia?

PANI LADERSKA. Zatrzymano ją w sali balowej, a ja śpieszę powitać panią. — Jaki śliczny bal, a mój pierwszy w Warszawie.

ŁUCYA. Panie się nie znają?

PANI LADERSKA. Nie miałam jeszcze sposobności przedstawić się.

ŁUCYA *(przedstawiając je)*. Pani Laderska, sąsiadka moja, hrabina Brodecka.

PANI LADERSKA. Cieszę się, że mogę przedstawić się hrabinie, o której tyle słyszałam i bardzo też pragnęłam tego zaszczytu.

HR. JANINA. Od Łucyi też słyszałam o miłej jej sąsiadce. Pani z córeczką przybyła na karnawał? A ten się zapowiada świetnie, jak dzisiejszy bal świadczy. *(Marya wchodzi)*. Mamo, księstwo Januszowie przybyli.

ŁUCYA *(do Laderskiej)*. Zostawiam cię pod opieką kochanej hrabiny, a idę powitać księstwo. *(Wychodzi z Maryą. Panie siadają na kanapie i prowadzą ze sobą rozmowę. — W drugim końcu sceny do towarzyszy PROFESOR)*.

PROFESOR. Pan twierdzisz, że Nansen i jemu podobni bohaterowie poświęcający swe życie dla dotarcia do bieguna północnego, czynią te nadludzkie wysilenia bez korzyści dla ludzkości?

GOŚĆ I. Naturalnie, bo co komu z tego przyjdzie, czy na osi ziemi jest czy niema wolnego morza? Mieszkać tam ludzie nie mogą, ni ciągnąć korzyści z tej lodowej krainy. Więc po co ta donkwiszotoda? *(Podczas tej rozmowy wchodzi MALWINA pod rękę z ZONIĄ i rozmawiają wesoło, śmiejąc się)*.

PROFESOR. Na Boga, toż wypowiedziałeś pan straszną herezyę! A nauka? A kwestya zachowania się igły magnesowej na samej osi ziemi?

GOŚĆ II. Co z tego komu przyjdzie, kochany profesorze, jeżeli ona będzie tam stała nawet i prostopadle? *(Odchodzą w żywej rozmowie)*.

PANI LADERSKA. Racz mi hrabina powiedzieć, kto jest ta dama, rozmawiająca z mą córką?

HR. JANINA. Winszuję pani tak ślicznej córeczki. Ta pani? To jest pani Malwina. *(Nachyla się i mówi do niej cicho z za wachlarza).*

PANI LADERSKA *(oburzona).* Ależ, jakimże sposobem przyjmują ją w towarzystwie, i właśnie Łucya?

HR. JANINA. Nie jedna jeszcze rzecz zdziwi kochaną panią w towarzystwie.

PANI LADERSKA *(wstając).* Przepraszam hrabinę, ale nie chcę, aby moja Zonia, rozumie pani. *(Podchodzi i trąca córkę wachlarzem w ramię).* Zoniu!

ZONIA *(do Malwiny).* Przepraszam, mama mnie woła. *(Laderska mówi do Zoni zdziwionej i wychodzi z nią do sali).*

MALWINA *(patrząc na odchodzącą ze złością).* Papuga jakaś! *(Do hrabiny).* Pani hrabina nie była wczoraj w teatrze, a ślicznie swą rolę grała Julia.

HRABINA. Nie, pani. *(Odchodzi).*

MALWINA. Druga papuga? *(po chwili do siebie).* Muszę koniecznie uzyskać zaproszenie na jutrzejszy bal do księżnej, a inaczej te papugi zaczną mi pokazywać miny i tyłem się obracać. Gdy zobaczą mnie u księżnej, nie będą śmiały. Znam ja je, te świętoszki z pozoru. Muszę poszukać Krańskiego. *(Odchodzi. Salonik się wypróżnia. Z drzwi wchodzą pod rękę Marya i Müller).*

SCENA DRUGA.

MÜLLER. Więc pani nie chcesz zrozumieć?

MARYA. Zmęczył mnie czegoś ten taniec!

MÜLLER. Dobrze mówi francuskie przysłowie „Niema głuchszego nad niechcącego słyszeć, lub zrozumieć“.

MARYA. Jeżeli pan utrzymujesz, że nie chcę zrozumieć, w takim razie powinno to panu wystarczyć, tak sądzę...

MÜLLER. Nie pani, to mi wystarczyć nie może. Z innemi paniami zabawiam się flirtem, a w nim wystarcza „nie zrozumienie“, ale z panią nie śmiałbym prowadzić tej modnej salonowej zabawy.

MARYA. Mam nadzieję.

MÜLLER. I zupełną słuszność. Flirt prowadzi się z panią Malwiną, no i ze stu innemi damami, ale nie z panną Maryą Boratyńską.

MARYA. A więc! *(chce odejść).*

MÜLLER. Panno Maryo! Racz pozostać chwilę. *(Marya zatrzymuje się).* W moim szacunku stoisz pani tak wysoko, że nawet w myśli nie śmiałbym równać panią z temi paniami i o tem wie jej ojciec, a mój przyjaciel. Ale oprócz szacunku są jeszcze inne uczucia głębsze, potężniejsze, choć one prawdziwe mogą się rozwijać tylko tam, gdzie je poprzedził już szacunek. Oprócz najwyższego szacunku zbudziłaś pani w mem sercu i te uczucia głębsze. *(Marya ogląda się nieznacznie, czy jej się skąd jaka pomoc nie zjawi).* I tak głębokie, że wobec nich wymowność moja milknie, to też najprościej w świecie powiem, że kocham panią i pokochałem ją, jak tylko ocenić mogłem, że mej miłości jesteś pani godną, godną być żoną Müllera z Annafeld.

MARYA *(zmieszana, cofając się).* Ależ panie!

MÜLLER. Tak, pani, to nie są słowa flirtu, ale poważnego człowieka, który wraz z sercem ofiaruje pani nazwisko swoje i rękę i podporę niezłomną na całe życie. *(Marya milczy).* Nic mi pani nie odpowie? Otoczę panią miłością wielką. U stóp twoich

złożę bogactwo, jakiego równego mało jest w kraju; będziesz panią serca mego, mojej osoby i wszystkiego, co posiadam i posiądę jeszcze, bo szczęśliwy miłością pani, zdwoję choćby dla niej mą energię i pracę tak, że wkrótce moja żona zajmować będzie pierwsze stanowisko w Warszawie. Czegoż pani więcej pożądać możesz?

MARYA. Kochać mojego męża. Ja zaś pana nie kocham.

MÜLLER. Rozumiem, że moja propozycya przychodzi tak nagle, że panią znalazła nieprzygotowaną, ale racz rozważyć i zastanowić się. Ja na stanowczą odpowiedź mogę poczekać dzień i dwa nawet. Miłość przychodzi z szacunkiem, a takowego mi pani przecie nie odmówi. Więc mam nadzieję, że pani staniesz się łaskawą na swego najniższego sługę i po pomówieniu z rodzicami nie odmówisz mej prośbie.

MARYA *(z determinacyą)*. Dziękuję panu, że zechciałeś mnie zaszczycić swym wyborem, ale byłoby niegodnie z mej strony dawać mu nadzieję. Ja pana nie kocham i nie pokocham nigdy, zatem nie mogę zostać jego żoną.

MÜLLER. Czy to ostatnie pani słowo? Czy ją moja stała miłość nie wzruszy?

MARYA. Tak panie, to ostatnie moje słowo. Żoną pana nie będę nigdy!

MÜLLER. Odpowiedzi tej nie biorę seryo.

MARYA. Proszę, abyś raczył ją za takową uważać.

SCENA TRZECIA.

(Muzyka gra od chwili mazura. Wchodzi LUDWIK).

LUDWIK. Panno Maryo, nasz mazur! Szukam pani wszędzie. Pary już ustawiły się do tańca.

MARYA. Idę! *(wybiega z Ludwikiem).*

SCENA CZWARTA.

MÜLLER sam.

MÜLLER. Więc to ostatnie twoje słowo? Czy tak? Inne czułyby się szczęśliwemi, gdybym której z nich zrobił propozycyę zostania moją żoną. Ale ta dziewczyna oczarowała mnie niezawodnie. Ja miałbym ustąpić kaprysowi tego dziecka? Ja miałbym się cofać i nie postawić na swojem, wyrzec się tej, której posiadanie jest istnością moją? Ja, Müller z Annafeld, którego woli a nawet zachceniu nikt dotąd sprzeciwić się nie śmiał? — Chyba przyjdzie mi przymusem zdobywać sobie względy tej dziewczyny szczególnej, ale jeżeli inaczej być nie może i przed tem się nie cofnę, jak nie cofnąłem się dotąd przed nikim i przed niczem! Krańskich mam w swem ręku; zgubić ich mogę i shańbić. Niechże oni zmuszą tę Maryę do zostania moją, albo niech giną wszyscy razem! — Jest mi ten sposób niemiłym, ale jej wina, że mnie zmusza do takiej ostateczności. Trudno! Muss ist eine harte Nuss! *(Mówiąc, przechodzi na prawą stronę sceny i siada na kanapce tak, że go wchodzący nie widzą).*

SCENA PIĄTA.

(Wchodzi KRAŃSKI pod rękę z MALWINĄ i staje na lewej stronie).

MALWINA. Gorąco zrobiło się w sali, dalej już nie będę tańczyła tego mazura. Oberwano mi falbanę. *(Przypina ją szpilkami).*

KRAŃSKI. Pomogę ci.

MALWINA. Dziękuję, sama zrobię lepiej, ale w czem innem pomóc mi możesz.

KRAŃSKI. Rozkazuj, mój aniele!

MALWINA. Jutro bal u księżnej, a ja nie mam zaproszenia. Ludzie zaczynają się krzywo na mnie patrzeć, a to przez ciebie.

KRAŃSKI. Ależ zdaje ci się, najdroższa!

MALWINA *(gwałtownie)*. Mnie się nigdy nie zdaje, to czego niema! Dzisiaj już dwie stare papugi zrobiły mi impertynencyę. Jeżeli księżna mnie nie zaprosi i nie okaże mi życzliwości, to za papugami przyjdą gęsi i zaczną gęgać i kury gdaczeć na mnie, a ja chcę mieć moje stanowisko w towarzystwie! Rozumiesz!

KRAŃSKI. Bardzo rozumiem, ale jakże ja poradzę? Nie mogę przecie prosić księżnej, aby cię zaprosiła, a i Łucya tego może nie zrobi.

MALWINA. Albo ja żądam, abyś ty to robił, czego nie możesz?

KRAŃSKI. Więc?

MALWINA. Jak przyniosę i dam księżnej niby ze składek u mnie zebranych jakie 500 rs. na jej ochronkę, to nie tylko mnie zaprosi, ale jeszcze uściska wobec wszystkich, a to zamknie dzióby wszystkim tym głupim i złym dewotkom, patrzącym tylko, aby na kogo rzucić kalumnię!

KRAŃSKI. Daj księżnie 500 rs., a zaprosi cię.

MALWINA. Otóż to, tylko, że ja nie mam na wyrzucenie tej małej sumki i chcę, abyś mi ją dał zaraz dzisiaj.

KRAŃSKI *(zaambarasowany)*. 500 rs. Widzisz Malwino droga, mnie już nie staje pieniędzy, a przecie przed tygodniem dałem ci 10.000 rs.

MALWINA. Dałeś przed tygodniem, to zapłaciłam krawcowe i całe utrzymanie domu, a teraz daj mi te nędzne 500 rs.

KRAŃSKI. Widzisz, bo mówiłem ci, że u nas pieniędzy już brak, a i ten bal więcej na kredyt jest...

MALWINA *(wpadając ze złością)*. Co mi do tego! Ja muszę mieć te pieniądze, a jeżeli ty ich nie masz, to wezmę je od barona Moryca, on dałby mi i 50.000, gdybym tylko chciała. Idę do niego! *(Chce odejść)*.

KRAŃSKI. Ależ Malwińciu! Ty taka zawsze jesteś nagła, że nie można z tobą spokojnie mówić. Ja nie mówię, żebym zupełnie nie mógł dać ci tych 500 rubli, tylko że mi jest trudno!

MALWINA *(wzruszając ramionami)*. Nie mam czasu na długie gadanie. Jak chcesz to daj, jak nie masz, to sobie poradzę.

KRAŃSKI. Ależ chodź, duszo moja, zaraz ci dam, przyniosę,. Poczekaj w zielonym saloniku.

MALWINA. Ale spiesz się! *(Odchodzi)*.

KRAŃSKI. Opętała mnie ta syrena. Dopiero dałem jej 10.000! *(Pociera sobie czoło)*. Boże, jak ciężko zdobyte, ale trudno, stracić ją i jej miłości nie chcę, nie mogę! *(Wychodzi)*.

SCENA SZÓSTA.

MÜLLER sam.

MÜLLER. Zabawne patrzeć na scenę pomiędzy tą pijawką, a głupim mężem starszej kobiety. Niezawodnie musiała go znowu pompować, a jemu już tej brzęczącej krwi brakuje. *(Wstaje)*. Śmiałbym się, gdyby mi w tej chwili było do śmiechu. Ale i ja z nim pomówić muszę i to stanowczo. *(Wychodzi, zderza się z wchodzącymi: KALASANTYM i PREZESEM SĄDU)*. Przepraszam! *(Odchodzi)*.

SCENA SIÓDMA.

(Pan KALASANTY, lat 40, prowadzi a raczej pcha pana PREZESA przed sobą, ciasno trzymając go pod rękę. Mina uśmiechnięta filuternie, bardzo zadowolony).

KALASANTY. Widziałeś, kochany prezesie, jak książę Janusz witał się ze mną uprzejmie i z wyszczególnieniem i jak wszyscy o tem mówią.

PREZES. Nie widziałem, ale cóż z tego?

KALASANTY. Co panie? To, że książę chce sobie mnie koniecznie zjednać, bo się mnie boi.

PREZES. Dlaczego?

KALASANTY. Niby pan nie wiesz? Jak ja to jemu dałem się we znaki!

PREZES. Ależ nie wiem!

KALASANTY *(z miną bardzo filuterną)*. Panie! Tylko przedemną nie udawaj! W towarzystwie dobroczynności, którego książę jest prezesem, postawił on wniosek, aby woźnemu dać 10 rubli remuneracyi. A że wszyscy jemu głowami kiwają, księciu, a nikt zaś sprzeciwić się nie chce...

PREZES. Bo niema potrzeby!

KALASANTY. Pan mówisz, że niema; ale ja wiem, jak trzeba zyskać sobie uznanie i znaczenie. Więc panie palnąłem mówkę, ale jaką? Że aż księciu w pięty poszło i postawiłem wniosek, aby dać tylko 5 rs.

PREZES. Proszę, i wniosek pana utrzymał się?

KALASANTY. No nie, widzisz pan, ludzie muszą się oswoić z niezależnością zdania, ale pomimo to już jeden głos był za mną. Tak to panie, trzeba wybijać się, a ja to, ho, ho, potrafię!

PREZES. Winszuję panu. *(Chce odejść)*.

KALASANTY *(chwyta go znowu pod rękę i prowadzi na przód sceny i mówi bardzo poufnie, oglądając się,*

czy kto nie słyszy). Jak mi pan dasz słowo honoru, to panu powiem sekret wielkiej doniosłości. *(Wyciąga rękę).* No, słowo?

PREZES. Może lepiej nie mów pan.

KALASANTY. Powiem, bo wiem, że pan, panie jesteś mi przyjacielem. Otóż stoję sobie, a tu przechodzi książę Iwan Iwanowicz i jenerał dywizyi i mówi: „Dyrektor III. oddziału dostał z Petersburga" — co, nie dosłyszałem — „i musi zaraz jechać". — Rozumiesz pan?

PREZES. Nie!

KALASANTY. Ej, panie, nie udawaj, ja wiem, jak trawa rośnie. Mnie nikt nie oszuka! Odjechać musi, bo dostał z Petersburga... no co dostać mógł? *(Zbliża się i mówi niemal do ucha).* Dymissyę panie, dymissyę dostał. *(Uśmiechając się z zadowoleniem).* A co panie? Już ja wszystko wiem! Tylko brak mi tutaj szerokiego pola działania, to też dlatego zobaczysz pan, jak jednego dnia sprzedam wszystko i hajda do Galicyi. Tam, panie, dla mnie pole działania, Rady powiatowe, Sejm i Wydział krajowy, Rada państwa, delegacye, tam dla mnie miejsce, a tutaj nie dadzą człowiekowi wybić się w górę wasze powagi. No, ale już księciu pokazałem, co potrafię i teraz będzie on dla mnie bardzo grzeczny, a i inni też poznają się na mnie! Zobaczysz pan. *(Wchodzi Dr RALSKI).*

PREZES. Bardzo się będę cieszył. Ale daruj pan, że muszę przerwać tak interesującą rozmowę, bo oto właśnie mecenas Ralski, do którego mam interes. *(Odchodzi).*

KALASANTY *(ruszając ramionami).* Ten już inaczej będzie o mnie mówił. Tego już mam! *(Zakręca się to tu, to tam i wychodzi, pogwizdując).*

SCENA ÓSMA.

(PREZES SĄDU i mecenas RALSKI, który wszedł na scenę).

PREZES. Kochany Mecenasie! Pan Krański wniósł podanie do sądu o pozwolenie sprzedaży Rożyczkowa, części osobnej Krasnopola, majątku małoletnich Boratyńskich. Co pan na to?

RALSKI. Wszak pan prezes wiesz, że sprzedaż ta jest niemożliwą, a i tak podczas nieobecności pana prezesa dozwolił sąd, pomimo mojej opozycyi jako kuratora, na zaciągnięcie 100.000 rs. pożyczki na ten majątek małoletnich.

PREZES. Prawda, prawda, źle się stało. Ja byłbym na to nigdy nie zezwolił, ale jakoś umiano wykorzystać moją nieobecność.

RALSKI. Podanie to o sprzedaż racz pan odrzucić wprost jako sprzeczne prawu, lub poślij je mnie do zaopiniowania, a ja już dam moją opinię, jak należy. Ten Krański sprzedałby cały majątek maloletnich i przehulał, jak przehulał cały majątek żony i te pożyczone na Rożyczków 100.000. Ja nie mogę się wydziwić słabości matki, ulegającej we wszystkiem temu niesumiennemu człowiekowi.

PREZES. Dziwne bo bywają zaślepienia starszych żon do młodszych mężów! Cały świat wie, że pan Krański zdradza swą żonę, prowadząc miłostki na prawo i lewo, jak n. p. z tą piękną Malwiną i hulając z godnymi siebie towarzyszami, a żona chyba ślepa, że nic nie widzi.

RALSKI. Miłość fizyczna zaślepia nie tylko żonę ale i matkę. Podanie o sprzedaż Rożyczkowa pani Krańska też podpisała.

PREZES. Ba! Onaby podpisała i wyrok na siebie, gdyby on tego zażądał.

RALSKI. Na siebie wolno jej, ale na jej i tego męczennika dzieci? To już się nie godzi! *(Mówią dalej cicho).*

SCENA DZIEWIĄTA.

(Wchodzi kilka par po skończonym tańcu. Panie wachlują się, a panowie obcierają czoła i rozsiadają się grupami na odpoczynek, prowadząc ze sobą ożywioną rozmowę. W grupie stojącej na środku sceny PANNA X. do TANCERZA Y.). Pan jesteś nieznośny! Ja nie mówię, że pani Julia jest nudną dlatego, że jest cnotliwą, ale dlatego, że nie chce rozumieć naszych niewinnych zabaw.

PAN Y. *(wpadając w słowa).* Na przykład w kotka i myszkę, a kotek tak ładnie myszką się bawi, to ją łapie, to znowu puszcza, udając, że jej nie widzi, aby potem nagle hops i już ją trzyma w pazurkach i tak dalej, aż ją zje.

PANNA X. Oh, wy tak umiecie, tylko że nie wszystkie myszki są głupie!

PAN Y. I nie wychodzą ze swoich pałaców?

PANNA X. Wychodzą, bo muszą, ale...

PAN Y. Chciałyby być kotkami.

PANNA X. Nibyto panowie jesteście tak smaczni do zjedzenia?

PAN Y. Może i nie, ale do zabawy tylko!

PANNA X. Dla mnie nie! *(Odchodzi do innej grupy).*

(W innej części saloniku).

PANNA A. *(do panny B.).* Moja droga kochana, odstąp mi tego kadryla z panem Józefem, bo mam mu coś powiedzieć i spytać się o coś koniecznie.

PANNA B. Ależ najchętniej, jeżeli on się na to zgodzi.

PANNA A. Dziękuję ci, najmilsza! *(Wybiega).*

PANNA B. *(Patrząc za nią, wzrusza ramionami).* Głupiby był! Takie cielę... *(Odchodzi. Muzyka gra kadryla).*

SCENA DZIESIĄTA.

(Wodzirej wchodząc). Panie i panowie! Kadryl drugi! *(Młodzież podaje ręce paniom, przyczem trochę zamieszania, bo każdy szuka swej tancerki).*

LUCYAN *(przechodząc około Zoni).* Co za szkaradne zwyczaje towarzyskie, że nie można ciągle tańczyć z tą samą, sercu najdroższą istotą.

ZONIA. Prawda, że szkaradne, a jabym chciała tylko z panem tańczyć.

LUCYAN. Życie całe tylko z tobą i oprócz ciebie nic i nikogo nie widzieć, a patrząc w twoje oczy, widzieć przez nie tylko świat cały!

MARYA *(przybiegając do Lucyana).* A to pięknie, zapominasz pan o swej danserce!

LUCYAN. Przepraszam panią! *(podaje jej ramię).*

MARYA *(do Zoni).* Zoniu, nie gniewaj się na mnie.

ZONIA. Na ciebie nigdy! *(Inny tancerz podaje ramię Zoni i mówi).* Proszę pani. *(Wychodzą wszyscy młodzi. Zostają na kanapce na lewo, hr. JANINA i pani LADERSKA, które też weszły pierwej na scenę).*

Hr. JANINA *(do Laderskiej).* Więc pan Lucyan, sąsiad ze wsi, oświadczył się o tę śliczną pani Zonię?

LADERSKA. Tak pani, w mazurku.

HRABINA *(śmiejąc się).* Ależ na to nie warto było przyjeżdżać na karnawał do Warszawy.

LADERSKA. Zapewne, gdyby chodziło o małżeństwo Zoni. Bo pan Lucyan już od dawna bywał u nas w chęci starania się o Zoncię, ale widzi pani, matka

musi przecie być pewną, czy córce naprawdę podoba się ten lub ów bywający na wsi. Niechby dziecko poznało wielki świat, zobaczyło więcej młodzieży, porównało sobie jednych z drugimi i przekonało się, czy konkurent wiejski jest właśnie tym, który wytrzyma porównanie, no i tym, który właśnie... rozumie pani?

HRABINA. Nie mam córek na wydaniu, ale zdaje, mi się że nie kłamie przysłowie mówiące: „ożeń się blisko!“ W mieście na karnawale widzi się mnóstwo ludzi, ale się ich nie poznaje, zaś o młodzieży tańczącej tyle wyrokować można, który jest dobrze ułożony pod względem manier i zachowania się salonowego, ale więcej, droga pani, nic się nie wie, jaki tam charakter, jakie serce i jakie zasady pokrywa czarny frak, a tak samo u panien. W karnawale robi się partyę na upatrzonego, ale nie kojarzą się małżeństwa dobrane. Karnawał, to wielka targowica, widzi pani, na której kupuje się i sprzedaje na los szczęścia, z zawiązanemi oczami.

LADERSKA. Mnie się też podobnie zdaje, choć dawno nie byłam w towarzystwie stolicy, bo ani ja, ani mój mąż nie lubimy tego świata pozorów i formy, ale co robić, gdy się jest matką. Ludzie wszyscy za złe braliby mi, gdybym córki nie pokazała w świecie.

HRABINA. Niestety, tak jest! Ale Zonia miała rozum, że w karnawałowym mazurku wybrała sobie dobrze jej znanego młodzieńca, a nie pierwszą lepszą laleczkę salonową, świetną pozorami i stanowiskiem, zajmowanem pomiędzy młodzieżą.

SCENA JEDENASTA.

(Po skończonym kadrylu przechodzi kilka par przez salon do dalszych salonów, rozmawiając ze sobą. W jednej grupie dwóch tancerzy i dwie panie).

TANCERZ A. *(prowadząc dalej rozmowę).* Pani za ostro sądzi; któż w życiu nie popełnił błędu?

PANI B. *(obrażona).* Przepraszam, ale są kobiety, które błędu nigdy nie popełniły.

TANCERZ A. Nawet ortograficznego, ucząc się na przykład pisać po francusku? *(Tamci się śmieją, pani B. odchodzi zgniewana; przechodzą wszyscy. Na scenie zostają MARYA i ZONIA.*

SCENA DWUNASTA.

MARYA. Zonieńko najdroższa! Jakże się cieszę twem szczęściem i twym wyborem! Pan Lucyan kocha cię od dawna, a taki zacny i poczciwy człowiek.

ZONIA. o tak! A jak ja strasznie bałam się tej Warszawy. Rodzice mi powiedzieli, że muszę karnawał przebyć w stolicy, choć nie byli przeciwni Lucyanowi.

MARYA. Twoje szczęście, że bierzesz sobie tego, kogo znasz dobrze i oceniasz. Jak wam dobrze będzie razem, tam na wsi, wśród natury Bożej — i jak ja się tem cieszę!

ZONIA. Na ciebie też przyjdzie kolej szczęścia takiego, jak moje, a w Krasnopolu jeszcze ładniej niż u nas. Wiem ja, przy czyim to boku byłoby ci najlepiej.

MARYA. Nie mów, nie mów, droga! Nie dobrze jest marzyć o szczęściu, gdy ono daleko, a może nigdy nie przyjdzie.

ZONIA. Dlaczego nigdy!

MARYA. Bo są ludzie skazani przez los i rody całe skazane, a naszego gwiazda zaszła w ciemność od

czasu, gdy ojca nam brakło. Wszystko teraz inaczej się dzieje. Inaczej, niż mi opowiadano, działo się dawniej w Krasnogrodzie. Ja o mem szczęściu nawet marzyć nie chcę.

ZONIA. Czyż marzenia pozbyć się można?

MARYA. Nie, ale bronić się przed niem trzeba, aby rzeczywistość mniej kiedyś zdała się bolesną. Ale nie mówmy o smutnych rzeczach, chodźmy lepiej do sali.

ZONIA *(całując Maryę).* Chodźmy, jeżeli ci tak lepiej! *(Wychodzą).*

SCENA TRZYNASTA.

KRAŃSKI *(wchodzi).* Ostatnie 500 rubli dałem jej! Jutro, pojutrze trzeba będzie zapłacić za ten bal, a skąd wezmę pieniądze? Ostatnia nadzieja, że ten kupiec Jan ułakomi się na interes kupna Rożyczkowa i da mi 40.000 zadatku, z których coś sobie zostawić muszę, a za resztę wykupię te weksle nieszczęsne, choćby nie wszystkie naraz. Albo wykupię wszystkie, bo pod tą grozą, w którą wepchnęła mnie głównie Malwina, żyć nie mogę. Nie mogę, bo ona odejmuje mi sen, apetyt i jak miecz Damoklesa wisi nad moją głową! Straszne położenie!

SCENA CZTERNASTA.

(Wchodzi MÜLLER).

MÜLLER. Przecie jest sam! *(do Krańskiego).* Kochany panie! Czy mógłbyś mi poświęcić parę minut czasu?

KRAŃSKI. Zawsze i najchętniej służę ci, kochany panie Zygfrydzie. Wszyscy są tak zatańczeni, że chwilowej nieobecności gospodarza nikt nie zauważy. Siadajmy, proszę! (*Siadają na kanapce na prawo sceny).*

ZYGFRYD. Na balu mówić o interesie nie wypada,

ale muszę pomówić z panem i to dzisiaj, więc wybacz pan, że bez ogródki powiem całą rzecz.

KRAŃSKI. Proszę, bardzo proszę! Słucham.

ZYGFRYD. Wiesz pan, jako dyrektor działu eskomptowego, że pojutrze odbędzie się w banku rewizya rady nadzorczej. Obecna rada nadzwyczaj dokładnie przegląda teraz wszystkie działy czynności naszych.

KRAŃSKI *(trochę zmieszany)*. Nie wiedziałem, że to już teraz nastąpi.

MÜLLER. Ja musiałem wszystko pierwej sam skontrolować i znalazłem kochany panie, w jego oddziale, jak to powiedzieć? — znaczne nieformalności.

KRAŃSKI. Może wkradły się jakie drobne usterki, dające się wytłómaczyć?

MÜLLER. No tak, tak, ale trzeba je koniecznie usunąć przed rewizyą pojutrzejszą.

KRAŃSKI *(niepewnym głosem)*. A jakież znalazł pan dyrektor?

MÜLLER. W tych tygodniach eskomptowałeś pan weksli firmy I. i Jan na 45.000 rubli.

KRAŃSKI *(coraz bardziej zmieszany)*. Może, w tej chwili sumy nie pamiętam.

MÜLLER Z tych weksli dwa po 2500 rubli przeszły przez komitet cenzuralny, zaś cztery po 10.000 rs. zeskomptowane były... bez komitetu.

KRAŃSKI. Może, nie pamiętam, firma ta jest tak dobrą.

MÜLLER. Zapewne doskonałą! Ale forma zachowaną być powinna. Pan sam te weksle dałeś kasie do eskomptu i sam podniosłeś za nie gotówkę!

KRAŃSKI Zapewne! Jan prosił mnie o to, więc dlaczegoż nie miałem mu zrobić tej grzeczności?

MÜLLER. Tak, ale tutaj właśnie zachodzi rzecz najważniejsza, a nią jest, że firma Jan, sam jej właści-

ciel przeczy prawdziwości tych weksli na 40.000 rs.

KRAŃSKI *(zrywając się)*. Skąd pan wiesz o tem?

MÜLLER. Byłem u starego Jana i zgadało się przypadkiem o jego koncie w banku i on oświadczył mi, że oprócz weksli na 5000 rs. niema żadnych innych w banku, a jeżeli są, to sfałszowane i on z góry zakłada protest.

KRAŃSKI. Jezus, Marya! *(Zakrywa sobie twarz rękami. Chwila milczenia)*.

MÜLLER. Panie Krański! Człowiek czasem zrobi źle, nawet bardzo źle, licząc, że złe naprawi i rachuje, że znajdzie środki po temu. Ja nie jako naczelny dyrektor banku, ale jako przyjaciel pana, pytam go, czy masz możność naprawienia tego nieszczęsnego kroku?

KRAŃSKI *(wstając)*. Panie Müller, dzięki ci za te, co dopiero wyrzeczone słowa; gdybyś ich był nie wypowiedział, byłbym za chwilę tylko trupem!

MÜLLER *(zmuszając go zająć miejsce)*. Panie dobrodzieju, jak się zrobiło źle, trzeba mieć odwagę i zimną krew, szukać rady na to złe! Uspokój się pan, bo tylko w spokoju można rozsądnie mówić o rzeczy tak niezmiernie ważnej, stanowiącej o życiu, wolności i honorze człowieka i rodziny całej. Więc proszę o zapanowanie nad sobą i o spokojne rozmawianie!

KRAŃSKI. Dziękuję! Spróbuję mówić spokojnie. *(Zbierając myśli)*. Pieniędzy mi było koniecznie potrzeba. Zdecydowana sprzedaż Rożyczkowa dawała mi możność, że w najkrótszym możliwie czasie będziemy mieli choć 40.000 rs. do dyspozycyi, więc przyznaję, iż najwyższą lekkomyślność popełniłem, eskomptując w taki sposób owe 40.000 rubli, ale Bóg mi świadkiem, że nawet przez myśl mi nie przeszło,

abym nie mógł ich zapłacić wkrótce, no i zapłacę, może już jutro.

MÜLLER. Jutro zapłacisz pan? To niepodobne!

KRAŃSKI. Byłem u Jana, on przyrzekł mi dać 40.000 rs. zadatku na Rożyczków.

MÜLLER. Stary Jan da panu 40.000 rs. zadatku na kupno, niemożebne do przeprowadzenia? Ależ pan żyjesz w illuzyach, kochany panie Krański!

KRAŃSKI. Mówiłem z Janem i on powiedział mi, że się namyśli, a że interes dla niego jest świetny, więc niezawodnie chwyci się go rękami i nogami!

MÜLLER. Widać, że pan masz gorączkę i nie rozumujesz na trzeźwo, jak o to go prosiłem. Jan, człowiek tej miary, znający się na interesach, jak mało kto w Warszawie, Jan, który od 3 lat nie zrobił żadnego ryzyka, ale postępuje w swych interesach jak kunktator i wszystko na pewne oblicza? Ten pan Jan miałby być tak naiwny, aby panu dał 40.000 zadatku na kupno, zupełnie niemożebne do przeprowadzenia, kupno majątku małoletnich Boratyńskich, których kuratorem jest Ralski, najtęższa głowa w naszej palestrze, a doskonały znajomy Jana, w którego prezes sądu wierzy, jak w ewangelię? Panie Krański, nie dziwię się, że mogłeś eskomptować fałszywe weksle, kiedy podobny sąd, przepraszam — niedorzeczny — mógł się wyrobić w twojej głowie! Proszę, nie bierzmy w liczbę podobnej niemożebności, bo nie ma czasu na taką rozmowę. Weksle muszą być wykupione za gotowe pieniądze jutro do wieczora! Pojutrze rano będzie już zapóźno! Pan rozumiesz przecie! Masz-że inne pieniądze lub mieć je możesz do jutra?

KRAŃSKI *(z rozpaczą)*. Nie mam i mieć nie mogę!

MÜLLER. To wyrok zagłady dla was wszystkich.

KRAŃSKI. Tak, to wyrok zagłady?

MÜLLER. Chyba...

KRAŃSKI *(Czepiając się tego słowa, jak deski ratunku)*. Mówisz pan „chyba“, chyba co? Na Boga, ratuj mnie pan, ratuj nas wszystkich! Powiedz, czy masz jaki ratunek? Na Boga, błagam, powiedz pan! *(składa ręce do prośby)*.

MÜLLER. Gdybyś pan miał, lub wkrótce mógł mieć bogatego zięcia, to on mógłby tę sumkę zapłacić!

KRAŃSKI. Jak to zięcia? Ja go nie mam i przecie do jutra mieć nie mogę!

MÜLLER. Przeciwnie! Oddajcie mi rękę panny Maryi Boratyńskiej, a ja natychmiast wykupię weksle, a nadto zrzeknę się jej znacznego posagu na rzecz jej matki, to znaczy dla pana!

KRAŃSKI. Jezu, aż mi się słabo zrobiło! *(Chwyta Müllera za obydwie ręce)*. Ależ kochany panie Zygfrydzie, ja i bez tej olbrzymiej usługi, którą chcesz mi oddać, dałbym ci rękę Maryi, dla jej własnego szczęścia! Czyż ona może zrobić lepszą i odpowiedniejszą partyę?

MÜLLER *(z uśmiechem)*. Ja wiem, że nie, ale kochany panie. choć twoje zezwolenie jest mi bardzo cenne, trzeba jeszcze, aby matka, a nadewszystko panna, zgodziła się na mą propozycyę i to do jutra, aby kontrakt ślubny był podpisany, rozumiesz pan, dlaczego do jutra wieczora?

KRAŃSKI *(namyślając się)*. Czas trochę za krótki. Ależ cóż Marya mogłaby mieć przeciwko panu? Oświadcz się jej na balu, a my swoje dopowiemy, gdybyś zna-

lazł jakie wahanie się z jej strony. Lecz i tego nie przypuszczam.

MÜLLER. I to pan źle kombinujesz! Oświadczyłem się pannie Boratyńskiej przed chwilą i stanowczo mi odmówiła.

KRAŃSKI. To nie może być, jak tylko przez jakiś chwilowy kaprys dziewczęcy, lecz ja i matka poradzimy na takowy.

MÜLLER. To rzecz wasza! Ja weksle zatrzymam u siebie do jutra wieczora. Dłużej, rozumiesz pan, nie mogę. *(Wstając)*. Pomyśl pan o tem, ale dobrze, i gdy coś stanowczego ułożysz, możemy jeszcze o tem pomówić. Ja i ostatni mogę wyjść z balu. Zostawiam pana — pomyśl, a jeżeli się da, to pomów pan z żoną! *(Odchodzi)*.

SCENA PIĘTNASTA.

(KRAŃSKI sam).

KRAŃSKI. To ta przeklęta Malwina! Przez nią wpakowałem się w takie błoto! Niechaj ją i wszystkie jej podobne, piorun trzaśnie! *(Bierze się za głowę, chodzi chwilkę po scenie i siada napowrót na kanapce, zakrywając twarz rękami i głowę spuściwszy)*.

SCENA SZESNASTA.

(Wchodzi KRAŃSKA).

KRAŃSKA. Gdzie on się podział? Zniknął, a przecież powinien powrócić do gości. *(Spostrzega Krańskiego, zachodzi z uśmiechem z tyłu i całuje go w głowę)*. Mój pan, władca serca mego i duszy, skrył się aż tutaj. Ty niedobry, a ja oglądam się ciągle za tobą, bo wiesz, że bez ciebie niema dla mnie życia, ni światłości, ni wesołości żadnej. Ale cóż to za chmura

na tem jasnem czole. *(Klęka przed nim)*. Chmurkę rozpędzę miłością i pocałunkami. Ja nie chcę, aby zaciemniało się moje słońce. Moje, jedynie moje! — *(Podczas przedostatniego zdania zaczyna spadać zasłona, tak, że spada ona zupełnie przy ostatnich słowach).*

Akt III.

SCENA PIERWSZA.

Salonik u Krańskich. Na lewo od sceny kanapka z maleńkim stoliczkiem, na prawej stronie kanapki dwa fotele. Na prawo ku środkowi w głębi stolik do pisania z dwoma stołkami, nieco dalej małe etablissement. Drzwi na prawo, lewo i we frontowej ścianie. Z lewych drzwi wbiega MARYA, a za nią wchodzi KRAŃSKI, zimny, sztywny i blady.

MARYA *(gwałtownie).* Nie chcę, nie chcę! Zmusić mnie nikt nie może, abym oddała swą rękę temu Müllerowi, którego nienawidzę!

KRAŃSKI. Wszystko ci powiedziałem, co za nim przemawia, więc rozważ. Człowiek ten należy do pierwszego towarzystwa, jest przez wszystkich szanowany i ceniony; bardzo przystojny, niezmiernie bogaty, a nadewszystko kocha cię prawdziwie i z całego serca.

MARYA. Ale ja jego nie kocham i nie chcę go!

KRAŃSKI. To są kaprysy dziecka rozpieszczonego, a z kaprysami rozum nie każe się nam liczyć. Müller jest doskonałą partyą pod każdym względem.

MARYA. Mnie to wszystko jedno, jaką on jest partyą,

ale jest mi on najwstrętniejszym człowiekiem w Warszawie.

KRAŃSKI. Po ślubie pokochasz go i będziesz nam wdzięczną, że cię znaglamy do tego małżeństwa.

MARYA. Ja się nie dam, ani znaglić, ani zmusić do zrobienia najwyższej ofiary dla fantazyi pana, lub może interesu.

KRAŃSKI *(rozdrażniony)*. Głupia jesteś i zła, a na twoją głupotę nikt zważał nie będzie. Musisz przyjąć Müllera!

MARYA. Pan nie masz prawa mnie zmuszać, bo nie jesteś mym ojcem, ale dałeś mi dosyć odczuć, że jesteś tylko — ojczymem!

KRAŃSKI. Ja z tobą nie będę rezonował. Niechaj matka oznajmi ci swoją wolę! *(Odchodzi na lewo)*.

SCENA DRUGA.

MARYA *(sama)*. Ten człowiek całe życie nas nienawidził, a teraz chce zadać gwałt memu sercu, gwałt najstraszniejszy, przeciwko któremu oburza się cała moja natura. Nie, tego nie uczynię! Przymusić mnie nikt nie może, a najmniej on, do czegoś tak wstrętnego sercu kobiety. Nie! nie, nigdy!

SCENA TRZECIA.

(Wchodzi ŁUCYA KRAŃSKA).

ŁUCYA. Maryniu moja, ojciec przyszedł powiedzieć mi, że ty odrzucasz rękę Zygfryda Müllera i że jemu, ojcu odpowiedziałaś tak szorstko, że nawet tego zrozumieć nie mogę.

MARYA. Mamo droga, ojciec żąda odemnie niemożebności, ale ty mamo nie będziesz żądała od córki, aby życie swoje, szczęście całe i jego nadzieję po-

święciła zachceniu pana Krańskiego *(poprawia się)* ojca!

ŁUCYA. Ależ dziecko, wszak to małżeństwo da ci jeno szczęście, bo pan Zygfryd jest jednym z najdystyngowańszych ludzi...

MARYA. Poco mi mamo powtarzać chcesz te zdawkowe frazesa? Już je wszystkie słyszałam i one są dla mnie pustym dźwiękiem. Ja nie kocham tego człowieka i nigdy go pokochać nie potrafię! Czyż ci to mamo nie wystarcza?! Czyż mamo przypuszczasz szczęście bez miłości i przekonania w wysoką wartość tego, z którym mamy złączyć się na całe życie.

ŁUCYA. Ależ Müller jest niezaprzeczenie wysoko wartościową osobistością.

MARYA. Rozumem i powodzeniem może. Ja się na tem nie znam, ale ani serce jego, ani charakter, mnie nie odpowiadają, a nadto jest mi wstrętnym do najwyższego stopnia.

ŁUCYA. Taki przystojny człowiek może być wstrętnym tylko w niezdrowej imaginacyi.

MARYA. Mamo droga! *(Całuje ją w rękę)* Poco mamy rezonować? Ja jego kochać nie mogę i za niego nie pójdę. Mama masz najzupełniejszą moc wedle praw boskich i ludzkich wzbronić mi wyjścia za mąż wedle mego upodobania, ale przecie nie zechcesz zmuszać twego dziecka do spełnienia ofiary najwyższej, bo z całego życia. Tego mamo nie zechcesz, bo przecie kochasz mnie, jak i ja ciebie.

ŁUCYA *(całując ją)*. Kocham cię, dziecko moje, ale gdybyś ty wiedziała, gdybyś wiedziała...

MARYA. Co, mamo?

ŁUCYA. Gdybyś wiedziała, że całe szczęście moje, że honor nasz i życie moje i męża mojego zależą

od twego przyzwolenia na to małżeństwo, czy nie przemogłabyś mniemanego wstrętu do Müllera?

MARYA. Nie rozumiem cię, mamo! To być nie może!

ŁUCYA. A jednak tak jest, niestety. Jeżeli odmówisz Müllerowi, to ojciec twój, ja i honor nasz są zgubione!

MARYA Matko, na Boga, mów jaśniej, ja nic nie rozumiem!

ŁUCYA. Jaśniej? Czy wiesz dziecko, czego żądasz? Żądasz, abym ci odkryła grozę hańby człowieka, który może niegodnym stał się mojej miłości, ale którego niestety kocham dotąd tą szaloną, niepojętą miłością, silniejszą nad wszystko i którego nazwisko noszę. — Chcesz tego?

MARYA. Ja tego nie chcę wiedzieć, ale ja nie mogę, nie mogę, mamo, poświęcić wszystkiego dla mego drugiego ojca — dla ojczyma!

ŁUCYA. Nie dla niego, ale dla mnie, dla ratowania życia mego i honoru naszego.

MARYA *(po chwili wahania się — z mocą)*. Więc mów matko — mów wszystko, — i to zniosę!

ŁUCYA *(po wahaniu się, obcierając czoło chustką, z bolesnem westchnieniem mówi)*. Więc muszę powiedzieć, gdy inaczej być nie może! Ojca opętał szatan w przystępie nieprzytomności — sprzedał w banku, Boże, jak ja to wymówię! *(Po pasowaniu się z sobą)*. sprzedał fałszywe papiery. *(Po pauzie)*. Papierów tych wykupić nie może, a jeżeli do jutra ich nie zapłaci, czeka go straszna i haniebna kara, a mnie chyba śmierć!

MARYA. Jezus Marya! On to zrobił?! Weź matko mój majątek po ojcu i zapłać tę — tę ochydę. Weź i Jasia schedę, on zaraz się na to zgodzi i spłacicie. Lecz co to ma do mego małżeństwa?

ŁUCYA. Wziąć waszego majątku nie możemy, bo sąd na to nie zezwoli, a Müller, w którego ręku są te papiery, a zatem honor i życie nasze, żąda za nie twej ręki i to dzisiaj, a jutro — jutro będzie zapóźno. *(Zakrywa twarz rękami, do siebie).* To wyznanie przed własnem dzieckiem, to pierwsza moja kara, ale straszna!

MARYA *(w oburzeniu).* Więc ten Müller, ów, jak mówicie, wyższy człowiek, kupuje mnie za honor pana Krańskiego? A tenże mnie i całą moją przyszłość, szczęście moje, marzenia młodości, wszystko, moje życie całe chce sprzedać dla uniknięcia skutków swojego czynu? Miał odwagę popełnić coś podobnego, ale brak mu jej na zadosyćuczynienie, na pokutę! I mną, której winien być obrońcą i opiekunem, mną dzieckiem prawie jeszcze, chce zapłacić niecny dług? Matko, przecież to ochydne!

ŁUCYA. Straszne są słowa twoje, córko moja! Straszne! *(Do siebie).* To druga kara. Więc niech się spełni wszystko! *(Po chwili).* Masz racyę, nie mogę żądać od dziecka mego takiego poświęcenia. Ja i tak starą i złamaną jestem, więc nie szkoda życia mego.

MARYA *(z przestrachem).* Co mówisz, mamo?

ŁUCYA. Do jutra ściągnie się sprawa. Jutro już nie obudzę się, a mam nadzieję, że i on nie zechce przeżyć hańby i będzie wolał umrzeć wraz ze mną.

MARYA. Matko, na Boga żywego, co za straszną rzecz wypowiedziałaś?

ŁUCYA. Wszak nie przypuszczasz, żebym mogła i chciała przeżyć naszą hańbę, ja, niegdyś żona Jana Boratyńskiego i córka bohatera i chluby narodu? Więc umrę, a Bóg niechaj się ulituje nad duszą moją. *(Jaś Boratyński wchodzi niespostrzeżenie, staje we*

drzwiach i nie ruszając się przez całą tę scenę, słucha w osłupieniu).

MARYA *(po chwili wahania się, klęka przed Łucyą).* Matko, ty nie popełnisz zbrodni, której już nawet nie mogłabyś odkupić! Ty matko moja nie umrzesz, gdy córka twoja może poświęcić siebie dla twego i duszy twej zbawienia. *(Rozrzewnia się powoli).* Gdy byłam małą, usypiałaś mnie smętnym śpiewem, uczyłaś córkę swą pacierza, kochać Boga i jego prawa, cnotę i obowiązek! Gdy dziecko twoje leżało złożonę chorobą, Ty jak anioł stróż czuwałaś noce całe przy mem łóżku, okrywałaś mnie pocałunkami, a łzy płynęły z twoich oczów, choć usta się uśmiechały do cierpiącej dzieciny.

(Łucya z uśmiechem słodkim kładzie jej rękę na głowie).

ŁUCYA. To była słodka przeszłość moja!

MARYA. Bóg jest dobry, doda mi siły, Bóg tak każe i serce moje dla ciebie. *(Wstając mówi z gorączkową mocą).* Matko idź i powiedz im, że — że córka spełni obowiązek swój dla matki. Powiedz, — że — że oddaję rękę mą temu Müllerowi, byle zaraz, byle dzisiaj jeszcze, bo może jutro zabraknie mi odwagi!

ŁUCYA *(zrywając się bierze ją w ramiona, całuje i przyciska do siebie sztywną, jakby martwą).* Dziecko moje najdroższe, będziesz-że miała siłę spełnić taką ofiarę dla ratowania honoru, życia i zbawienia matki twej?

MARYA *(z mocą).* Będę, ale idź zaraz — zaraz, niechaj męka czekania skończy się rychło!

ŁUCYA. Bóg niechaj będzie z tobą, dobre dziecko. Idę powiedzieć, idę, niechaj i on nie rozpacza. *(Jeszcze raz ściska Maryę i wychodzi).*

SCENA CZWARTA.

(MARYA i brat JAN).

JAN *(przybiega)*. Na Boga siostro, co to znaczy? — *(Marya wydaje krzyk i rzuca się bratu na szyję z wielkim płaczem)*. Maryniu, siostro moja najdroższa uspokój się! To nie może być, ty nie możesz zrobić podobnego poświęcenia, ty nie możesz zostać żoną tego człowieka! *(Marya płacze ciągle na jego piersi)*. Co cię zmusza do tak rozpaczliwego kroku? Ta ofiara spełnić się nie może! Nigdy, nigdy!

MARYA. A jednak muszę spełnić ten straszny kielich goryczy — muszę!

JAN. Dlaczego musisz, dla ratowania od hańby tego człowieka? Wiem wszystko, bo mi on wszystko powiedział, ten...

MARYA. Nie jego, ale matki naszej, muszę! Nie pytaj więcej, ale wiedz, że muszę, bo takim jest mój obowiązek. *(Po chwili)*. Widzisz, że jestem już spokojną. Chodź Jasiu, bracie mój najdroższy i przyjacielu, siądź tutaj, niechaj sobie spocznę przy twoim sercu! *(Siada na kanapce)*.

JAN *(siadając przy niej blizko)*. Ja bo tak oszołomiony jestem tem wszystkiem, że jeszcze dobrze pojąć nie mogę wszystkiego. Słyszałem koniec twej z matką rozmowy. Dlaczego ty musisz?

MARYA. Muszę, ale już nie pytaj, bo mi wypowiedzieć jest za boleśnie. Wiedz tylko, że i matki naszej życie i cześć zależy od tego, na co przystałam.

JAN. A on? a Ludwik? Czyż o nim nie pomyślałaś? Jak on zniesie tak straszny cios, on, który cię tak bardzo i od dawna kocha, choć przez szlachetność nie okazuje ni tobie ni przedemną swojego uczucia.

MARYA *(z wyrzutem)*. Poco mi bracie podnosisz jeszcze

i tę boleść mego serca, kiedy ja już rozstałam się z nadzieją? *(Opiera głowę na Jana ramieniu i mówi więcej do siebie niżeli do niego).* Jak ja śniłam prześlicznie, o jakiem szczęściu nas wszystkich, pełnem Bożego świata, uśmiechu i spokoju błogiego, takiem wielkiem ogromnem jak szafir nieba. Jak mnie z tym snem dobrze było, jak dobrze i słodko! My wszyscy sercem złączeni, byliśmy razem, razem na wieki, — ty, on, mama, o mój kochany ojciec, tylko tego człowieka nie było, jak cienia na naszej szczęśliwości. Wokoło szerokie pola Krasnogrodu, przestwór, cisza, woń pól i łąk, a my razem wśród tej ciszy równie cisi duchem i pragnieniami, bo wszystkie zostały spełnione, więc tylko serca są pełne miłości i wdzięczności dla Boga — i nic — nic już nie potrzeba, — nic jak to, aby ta cisza zewnętrzna i pełnia serca trwały bez końca — zawsze — zawsze i ta sama miłość i ten sam zachwyt szczęścia. *(Jan ociera łzy).* Prawda Jasiu, że tak być mogło, ale Bóg nie chciał; a co Bóg chce, trzeba, abyśmy i my chcieli. Prawda Jasiu?

JAN. Moja ty gołąbko słodka! *(Całuje ją).*

MARYA. Słyszałam nieraz mówiących, że nieszczęście czyni ludzi zgryźliwymi i złymi. To nieprawda, Jasiu! Ja obecnie czuję, że mogłabym czuć się nawet szczęśliwą, gdybym mogła patrzeć na szczęście wszystkich, skąpać się w cudzem szczęściu, wciągnąć go w siebie, oddychać niem. Jabym tak pragnęła, aby wszystkim ludziom świeciło szczęście, aby go było pełno, jak promieni słonecznych w dzień jasny, wszędzie i w pałacu i w chacie nędzarza — a szczególnie, aby ono świeciło i promieniało w sercach ludzkich! Tak, tego jeszcze pragnę dla siebie,

jako wielkiego, gojącego leku. Nie mieć osobistego, ale czuć obok siebie szczęście, to mieć go własne, więcej niż w połowie!

JAN *(do siebie)*. I to anielskie stworzenie ma być przeznaczone na piekło doczesne! Maryniu, gdybym był spokojny o ciebie choć na pół godzinki, skoczyłbym do pana Jana. On taki dobry i mądry, onby mi powiedział, co i jak mam robić, bo ja nie dopuszczę do tej strasznej z twej strony ofiary.

MARYA *(szybko, jakby przelękniona)*. Nie, Jasiu, ty jemu nie mów, że jestem nieszczęśliwą. Toby go bardzo bolało, czuję, żeby go bardzo bolało, bo on nas kocha, a ja nie chcę sprawiać mu boleści. Ja mu powiem, że to ja chciałam iść za Müllera. Pokażę mu twarz tak swobodną, że uwierzy dobry starzec. Wiesz bracie, że ile razy we śnie widzę ojca naszego, to on przedstawia mi się takim, jak pan Jan. Z temi samemi oczami, pełnemi dobroci i głębi, z tym samym uśmiechem smutnym, ale słodkim. Tylko mój tato w marzeniu jest młodszym. Może też ja i dlatego tak pokochałam pana Jana.

JAN. Dobrym i mądrym jest on bardzo i onby coś przecie doradził mi.

MARYA *(składając ręce do prośby)*. Ja cię proszę, nie mów ty nic jemu. Ja nie chcę zasmucać jego, nie nie chcę! A widzisz, że ja mam racyę, że nieszczęścia nie robią ludzi złymi. Pan Jan przeszedł także straszne katusze i przez tak długo, a dobroć jego i miłość dla ludzi są bezgraniczne. Więc i ja stanę się lepszą, kiedyś.

JAN *(do siebie)*. Kiedyś? Boże, jakże ja cierpię!

MARYA. Widzisz mój Jasiu, już wszystko dobrze ułożyliśmy. Widzisz, że ja mam odwagę i że mnie to

nie bardzo boli. Widzisz, że mam uśmiech na twarzy, widzisz, wszystko dobrze będzie. *(Wstając).* A teraz, teraz ucałuj siostrę twoją, tę, która śniła sny czarowne, żyła nadzieją szczęścia, tę dzisiejszą, bo jutro — jutro już nią nie będę, ale inną.

JAN *(płacząc, obciera oczy).* Maryniu!

MARYA. No widzisz, już się śmieję *(odchodzi)*, do widzenia Jasiu! *(Przed drzwiami staje, zwraca się nagłym ruchem, podbiega do Jana, z rozpaczą rzuca mu się na szyję).* Jasiu, bracie! *(Wybucha głośnym płaczem).*

JAN *(tuli ją).* Siostro moja biedna!

MARYA *(po chwili ucisza się siłą woli, odstępuje od brata).* Jakżem ja słaba i nędzna! Wybacz Jasiu, ale to raz ostatni. Wszak jam Boratyńska! Bóg z tobą! *(Wybiega na lewo).*

SCENA PIĄTA.

(JAN sam).

JAN. Ja mamże dopuścić, aby to słodkie stworzenie, ta moja ukochana siostra, spaliła się cała w ofierze dla niegodnego oszusta i fałszerza weksli. — Nigdy! Pókim żyw, nie będzie tego, choćbym miał i przed samym ołtarzem zamordować tego Müllera. Ale przedewszystkiem pana Jana uwiadomię o wszystkiem, pomimo próśb Maryni. On najlepszą poda mi radę. *(Wybiega).*

SCENA SZÓSTA.

(KRAŃSCY oboje wchodzą).

ŁUCYA. Dla ratowania twojego honoru, a mam nadzieję i życia, poświęciłam córkę moją, całe jej ży-

cie i szczęście i niem odkupuję twój *(wacha się)* niecny czyn!

KRAŃSKI. Dziękuję ci, moja Łucyo, ale znowu nie trzeba przesadzać. Ja miałem pewność, że Rożyczków sprzedam, więc pokryję tę chwilową pożyczkę i gdyby nie ten stary przeklęty Ralski, sprzedaż byłaby przyszła do skutku i rzecz byłaby się załatwiła cicho i spokojnie. Nie udało się. Trudna rada! A nawet dzisiaj ten kupiec Jan przyjął mnie dosyć niegrzecznie i wymówił się od kupna Rożyczkowa, gdy przed dwoma dniami zdawało się, że interes będzie skończony.

ŁUCYA. Tak? Ale moja Marya ma płacić najstraszniejszą ofiarę za ciebie.

KRAŃSKI. Jaka tam ofiara wyjść za człowieka tej wartości i majątku, co Müller? Za miesiąc będzie mi dziękowała.

ŁUCYA *(już wzburzona)*. A czy ty wiesz, że ona kocha kogo innego? Bo, ja matka, odgadłam to dawno.

KRAŃSKI *(ruszając ramionami)*. Tego Ludwika bez grosza i pozycyi, to u niej rychło minie. Ale czasu nie mam. Müller i rejent czekają na mnie na dole w kancelaryi z kontraktem ślubnym, więc muszę iść po nich. Ty przygotuj jeszcze Marynię, żeby jakich fochów nie stroiła. Jeszcze raz dziękuję ci, Łucyo, ale tego spodziewałem się po twej miłości. *(Odchodzi)*.

SCENA SIÓDMA.

(ŁUCYA sama).

ŁUCYA *(długo stoi, patrząc w drzwi, któremi wyszedł Krański, przeciera sobie reką czoło)*. Więc taki jest ten człowiek, którego do szaleństwa kochałam?

Dlaczego? Dla jego młodej piękności, ale przez zaślepienie nigdy nie widziałam jego duszy i dzisiaj pierwszy raz w nią zajrzałam. Więc on nie odczuł całej wielkości poświęcenia się Maryi? Więc nie ma on serca, ani szlachetności, ale egoizm bezgraniczny *(z rozpaczą)* i podłość! *(Zakrywa twarz rękami; z rosnącym przestrachem).* Ja żona tamtego, który wolał znieść wszystko, straszliwy wyrok, aby nie zdradzić brata mego, ja dzisiaj żoną tego drugiego i jemu oddałam serce i duszę moją *(z rozpaczą)* i dzieci moje! A on i tamten? Tamten, jaki on olbrzymio wielkim jest przy tym! A ja? Jakże nikczemną się stałam! Zmysły mnie uwiodły, szatan zwyciężył! *(Chwytając się za piersi).* Jakie to zimno straszne wlało się w pierś moją! Serce stało się jakby bryłą lodu, że aż pali mnie mrozem! *(Robiąc przerażone oczy, cofa się w tył, jakby zobaczyła coś strasznego, które pragnie rękami odepchnąć od siebie; wydaje okrzyk przestrachu i zgrozy).* O-o-oh! Co za straszną rzecz zobaczyłam w sercu mojem! O-o-oh! Miłość z niego uciekła, a w jej miejscn rozsiadła się poczwara pogardy! Straszno mi! *(Ucieka w rozpaczy i jakby obłąkana ze strachem).*

SCENA ÓSMA.

(Wchodzi z drzwi głównych KRAŃSKI, a za nim MÜLLER i REJENT z papierami w ręku).

KRAŃSKI. Proszę kochanych panów! *(Müller we fraku i białym krawacie; mina zadowolona i uśmiechnięta szczerze, ruchy, mowa i gesta pełne pewności siebie).*

MÜLLER. Szczęśliwy dzień życia mego; witam go z radością! *(Do Krańskiego).* Więc panna Marya

przyjęła moją rękę za pana współdziałaniem? Dziękuję. Nie zawiedziesz się pan na mej wdzięczności. Pannę Maryę otoczę miłością i będę spełniał jej wszystkie *(po pauzie)* rozsądne życzenia. Mam też nadzieję, że szczęśliwą się uczuje wkrótce, choć musiałeś pan użyć nieco przymusu.

KRAŃSKI. Kochany panie Zygfrydzie, proszę cię, dzisiaj nie narzucaj się jej w niczem, nawet z miłości słowami. Niechaj pierwej oswoi się z nowem, a tak niespodziewanem położeniem. Pan wiesz, że z tak młodą...

ZYGFRYD. Daj pan spokój, już ja wiem, jak trzeba oswajać ludzi, a szczególniej... kobiety. Dzisiaj też, oprócz paru słów szacunku, nic nie powiem. Wiem i znam. *(Uśmiecha się, kładąc Krańskiemu poufale rękę na ramieniu).*

KRAŃSKI *(do Rejenta).* Racz pan przygotować wszystko przy tym stole. *(Do Müllera).* Weksle owe nieszczęsne masz pan przy sobie?

MÜLLER. Zaraz je mój urzędnik przyniesie. Bądź pan spokojny, słowo moje więcej warte i pewniejsze jest niż weksle.

KRAŃSKI. Idę po żonę i córkę. Panowie raczą mieć chwilkę cierpliwości. *(Wychodzi).*

SCENA DZIEWIĄTA.

(Ciż bez Krańskiego, a następnie przychodzi urzędnik z banku).

MÜLLER. Siadaj panie Rejencie; widzę pióra i atrament są na stole. Kontrakt ślubny czytałem; jest napisany prawnie i z mą wolą zgodnie. Więc tylko nasze podpisy położymy. *(Zaciera ręce, do siebie).* Jak ja znam ludzi, ich serca i wady. Kto na wadach

grać nie umie i ich wyzyskać, ten niewiele dokaże. Będę posiadał tę uroczą dumną pannę, której pożądam, jak dotąd niczego w życiu nie pożądałem. Związek z hrabianką Boratyńską ustali też pozycyę moją w towarzystwie, a i to mi potrzebne. No i w końcu kocham tę lilię pełną krasy, woni i bieli. *(Wchodzi urzędnik banku).*

MÜLLER. Daj pan weksle!

URZĘDNIK. Panie dyrektorze, weksli już niema w kasie.

MÜLLER. Co to znaczy? Jak to niema?

URZĘDNIK, Dzisiaj rano zostały wykupione.

MÜLLER. Co, wykupione? To nie może być. Czy pan Krański wykupił je?

URZĘDNIK. Nie pan dyrektor wykupił je, ale akceptant.

MÜLLER *(w przestrachu).* Co, firma I. Jana wykupiła weksle? To być nie może! *(Do siebie).* Co to jest? Na co on, ten stary mógł wykupywać weksle fałszywe? Dla Boga, coś w tem tkwi niedobrego. *(Do urzędnika).* Abyś się pan nie ważył i słowem wspomnieć, że weksle wykupione. Rozumiesz pan? A inaczej natychmiast straciłbyś swą posadę.

URZĘDNIK. Ani słowa nie powiem, może pan dyrektor być pewnym! *(Odchodzi).*

MÜLLER *(do notaryusza).* Wpisz pan zaraz prędko, że panu Krańskiemu mam wypłacić 40.000 rs. *(po chwili)* lub nie. Napisz pan w dwóch słowach podobną odemnie deklaracyę, osobno, nie w intercyzie, ale proszę zaraz uczyń to; dwa słowa wystarczą. *(Notaryusz pisze szybko).*

SCENA DZIESIĄTA.

(Wchodzą KRAŃSKI, za nim ŁUCYA, blada, sztywna

i MARYA, opierająca się na jej ramieniu, oraz JAŚ BORATYŃSKI, chmurny. MÜLLER kłania się nisko).

MÜLLER *(do Maryi)*. Nigdy pani nie pożałujesz, że raczysz mnie zaszczycić swem zaufaniem. Całem życiem starać się będę o jej szczęście. *(Marya milczy, nie oddając ukłonu)*.

MARYA *(do matki)*. Prędko mamo, bo mnie siły opuszczają!

ŁUCYA. I moje są na wyczerpaniu. *(Do siebie, patrząc ku Krańskiemu)*. Ten człowiek tak unicestwił odwagę moją i wolę moją, że wobec niego nie śmiem ratować dziecka mego, nie śmiem, choć wolałabym śmierć ale nie śmiem, ja nędzna, nie śmiem.

JAŚ *(cicho do Maryi)*. Na wszystko w świecie błagam cię, zwłócz jak najdłużej.

MARYA. Nie mogę, nie chcę; męka czekania niechaj się skończy!

KRAŃSKI. Panie Rejencie, racz przeczytać akt. *(Łucya siada na kanapie i pociąga za sobą ubezwładnioną Maryę)*.

REJENT *(wstając i odchrząknąwszy)*. Przedemną Rejentem Prawnowskim...

KRAŃSKI. Opuść pan wstęp, proszę.

REJENT. Jeżeli państwo żądają i uznają akt za znany im i z wolą ich zgodny...

KRAŃSKI. Proszę przeczytać ostatni ustęp.

REJENT *(przewraca kartki i czyta)*. Wielmożny Zygfryd Müller z Annafeld zrzeka się posagu JW. Maryi hrabianki Boratyńskiej na rzecz jej matki JW. pani Łucyi Krańskiej. *(Nikt nie słucha, a Müller uśmiecha się zadowalniająco i dumnie)*.

KRAŃSKI. Widzisz, Maryniu, szlachetną bezinteresowność Zygfryda.

MARYA *(nie odpowiada).*

KRAŃSKI. Więc możemy przystąpić do podpisu. *(Jaś Boratyński w najwyższym niepokoju spogląda na drzwi).*

REJENT *(podaje pióro Müllerowi).* Proszę położyć swój podpis — ot tutaj. *(Müller podpisuje i oddaje pióro).* Teraz może hrabianka raczy podpisać.

KRAŃSKI. Podpisz Maryo!

MARYA *(podnosząc się zwolna, postępuje ku stołowi, matka za nią; bierze pióro do ręki, chce podpisać, pióro wypada jej z ręki, słania się na fotel i cichym mówi głosem):* Słabo mi, mamo!

ŁUCYA. Dziecko moje, przyjdź do siebie, moje biedne dziecko. *(Mówi jej cicho).* Nie podpisuj! *(Kładzie jej rękę na głowie. Jaś przybiega do niej).*

JAŚ. Siostro!

MARYA *(podnosi się wolno).* Już przeszło. Przepraszam. *(Bierze pióro do ręki i nachyla się nad papierem).*

SCENA JEDENASTA.

(Wszyscy z natężeniem patrzą na MARYĘ, a ŁUCYA zakrywa sobie twarz rękami i nikt nie uważa, że przez wchodowe drzwi wszedł JAN i szybkim krokiem zbliżył się do stolika. — Gdy MARYA dotyka piórem papieru, JAN szybko podchodzi i kładzie rękę pod jej pióro).

JAN *(głosem stanowczym, z wielką powagą).* Nie podpiszesz Maryo, bo ja na to nie zezwalam! *(Bierze akt, cofając się na środek sceny. Ogólne osłupienie, tylko Łucya w miejscu, powoli coraz bardziej pochyla się naprzód, z coraz większym przestrachem wpatruje się w Jana i mimowoli pochyla się całą postacią ku niemu — gra twarzy, naprzód zdziwienie, potem

przestrach coraz większy. Jan rozdziera akt i rzuca na ziemię)

KRAŃSKI. Co to jest?

MÜLLER *(podchodzi nieco bliżej i ze złością)*. Jakiem prawem pan, obcy rodzinie, przychodzisz naruszać jej spokój? Jakiem prawem śmiałeś przetargać akt rodzinny i rzucić słowo „nie zezwalam“?

JAN *(patrzy na niego wyniośle i mówi wolno)*. Prawem ojca nad dzieckiem!

ŁUCYA *(jeszcze krok postępuje naprzód, ale wyciąga dłonie, jakby przed czemś groźnem osłonić się chciała. Krański i Zygfryd postępują wściekli ku Janowi)*

KRAŃSKI. Kto jesteś?

MÜLLER. Ktoś intruzie?

JAN *(jeszcze podnosząc głowę)*. Kto? Jam jest Jan Boratyński!

ŁUCYA *(wydaje lekki krzyk i pada na kolana, płacze cicho, zakrywszy twarz rękami. Krański i Müller cofają się o trzy kroki w przerażeniu. Marya wydaje krzyk radości i rzuca się Janowi na szyję, zaś brat jej upada na kolana przed ojcem, całując jego rękę)*.

JAŚ. Ojcze!

MARYA. Więc to ja dlatego tak bardzo ciebie kochałam.

KRAŃSKI *(oprzytomniawszy wraz z Müllerem z wściekłością)*. Kłamca, oszust! Jaki masz dowód? Precz z nim! *(Chcą z podniesionemi rękami, jakby do uchwycenia Jana, rzucić się na niego. Marya gwałtownym ruchem staje przed ojcem z rozpostartemi rękami, zasłaniającemi go i głosem silnym, stanowczym i z roziskrzonemi oczyma, odpycha sobą Müllera)*.

MARYA. Nie! *(Brat jej takimże szybkim ruchem i silnie pięścią odpycha Krańskiego).*

JAŚ. Precz!

JAN *(spokojnie).* Dowodu chcecie? *(Patrzy na Łucyę płaczącą, która w tej chwili wyciąga ręce i dwa kroki sunie się na kolanach).* Dowodu chcecie? *(Pokazuje na Łucyę).* Oto pierwszy dowód!

KRAŃSKI *(przerażony, patrzy na nią, potem szybkim krokiem przyskakuje do niej gwałtownie, podnosi ją z klęczek).* Łucyo, na Boga, kto jest ten człowiek? Powiedz, że skłamał nędznie!

ŁUCYA. Nie! Prawdę rzekł! To on! Mój mąż! *(Spuszcza głowę i tak stoi bez ruchu. Krański opuszcza ręce w zwątpieniu i cofa się wolno w tył sceny. Jan trzyma dzieci za ręce).*

MÜLLER *(przychodząc pierwszy do przytomności mówi w złości).* Jeśli pan jesteś naprawdę Boratyńskim, to straciłeś prawa stanu, jako zesłany w katorgi na lat trzydzieści, więc do dzieci nie masz praw żadnych. A jeżeli uciekłeś z Sybiru i kryłeś się pod przybranem nazwiskiem, to natychmiast każę cię odstawić do Nerczyńska. *(Robi krok ku drzwiom).*

MARYA. Ojcze!

JAŚ *(z podniesioną pięścią chce się rzucić na Müllera).* Nikczemny!

ŁUCYA *(jednocześnie).* Jezu!

KRAŃSKI *(zastępując mu drogę, groźnie).* Tej podłości nie zrobisz!

JAN *(wstrzymuje syna, trzymając go za rękę).* Daj spokój synu! Takich ludzi Boratyński nawet ręką nie tyka. Uspokójcie się dzieci! Temu człowiekowi innej trzeba odpowiedzi. (*Idzie do Rejenta i podaje*

mu dwa papiery, wyjęte z tużurka). Racz pan przeczytać te dokumenta.

REJENT *(bierze je, przegląda i mówi).* Ten pierwszy, to uwolnienie Jana Boratyńskiego z kopalń w Nerczyńsku na wolne osiedlenie w Syberyi. — Ten drugi mówi, że „na przedstawienie księcia Wasyla Gregorowicza, gubernatora Syberyi zachodniej, Najjaśniejszy Pan, Cesarz wszech Rosyi, zdejmuje zupełnie karę z hrabiego Jana Boratyńskiego i przywraca go do wszelkich praw stanu i zwraca mu majątek". — Podpis samego Cesarza! *(Oddaje papiery Janowi z ukłonem).*

JAŚ i MARYA. Jakież to szczęście ojcze! *(Ściskają go).*

ŁUCYA. Dzięki Ci, Boże!

KRAŃSKI. Wszystko skończone!

MÜLLER. Przekleństwo! *(Wychodzi szybko, za nim Rejent cicho się wysuwa).*

SCENA DWUNASTA.

(Ciż bez MÜLLERA i REJENTA).

JAN. Dzieci moje drogie, kochane! Dziękuję wam. Już się nie rozstaniemy! Ty Maryniu straszną przeszłaś próbę. Bóg ci tę boleść policzy. *(Całując ich w głowy).* Idźcie teraz dzieci — na chwilę — zostawcie nas! *(Odchodzą, ale Marya pierwej całuje matkę). JAN do Krańskiego).* Zechciej pan na chwilę zostawić mnie tutaj z panią Krańską, ale proszę nie oddalać się. Weksle pana są u mnie. *(Pokazuje mu. Krański nic nie odpowiada, tylko ze spuszczoną głową odchodzi na prawo).*

SCENA TRZYNASTA.

(JAN i KRAŃSKA).

JAN *(postępuje ku niej).* Moim stałym zamiarem było oszczędzić pani mojego widoku i wyrzutów sumienia — i dlatego też jestem już trzy lata w Warszawie pod przybranem nazwiskiem, ale nie mogłem zezwolić, abyś dziecko moje sprzedawała niegodziwcowi za cenę rzeczy nieistniejącej, honoru męża pani i dlatego tylko widzisz mnie dzisiaj.

ŁUCYA *(podnosząc na Jana oczy, ale je zaraz spuszczając).* Dziękuję ci, uratowałeś dziecko przed moją słabością i — nikczemnością!

JAN *(patrzy na nią uważnie, po chwili).* Poczciwe uczucie przemówiło w tej chwili przez ciebie — Łucyo!

ŁUCYA. Pierwsze — bo przejrzałam w tej strasznej chwili — i widzę, jak byłam nędzną.

JAN. Wyrzutów nie przychodzę ci czynić, nie! Kto tyle, co ja, przeszedł bolów ciała, serca i duszy, ten ma jedno tylko uczucie — miłosierdzia i przebaczenia.

ŁUCYA *(składając ręce).* Janie!

JAN. Lat ośm przykuto mnie do taczek. Lat ośm znosiłem nędzę, o jakiej ludzie pojęcia nie mają. Ciemność w dzień boży, a na noc zgniły barłóg w zgniłej norze. Kajdany wżarły mi się aż w kości, a bat dozorcy krwawił mi plecy, ale nie czułem się nieszczęśliwym, bo duch mój nie był ze mną w męce ciała. Duch wzmacniał i krzepił się obrazami szczęścia przeszłości. Duch mój i serce były z dziećmi memi i z żoną moją. Gdy wkońcu ciało osłabło i zwaliła go na barłóg śmiertelna choroba, każdej nocy konającemu niemal, zjawiało mi się cudowne widziadło. Stawała przed oczami duszy mojej moja

Łucya z dwojgiem dzieci i patrzyła na mnie wzrokiem, pełnem miłości, a usta jej szeptały słowo „kocham“. Ta czarowna wizya i owo słodkie słowo uśmierzały palącą gorączkę i zatrzymywały uchodzącą już z ciała duszę. W samotności mej strasznej, w utęsknieniu za wami, rosła moja miłość do was i wyrosła do takich rozmiarów, że cały byłem niczem więcej, jak tylko jedną bezgraniczną miłością, pragnieniem i tęsknotą! Byłem, jak ten Arab umierający z pragnienia na spalonej pustyni, któremu w chwili męki śnią się przeczyste krynice. Tak mnie się śniła miłość mej żony...

ŁUCYA. Boże, zmiłuj się nade mną!

JAN. Gdy mnie wypuszczono i przybyłem do Irkucka, doszła mnie straszna wiadomość, że ta w marzeniach moich aniołom podobna Łucya, rzuciła się w ramiona człowieka nędznego, nie mającego za sobą nic, jeno młodość i gładkość oblicza! Dopiero odtąd zaczęła się dla mnie prawdziwa katorga, straszna — bo serca i duszy. *(Przystępuje do Łucyi).* Czy ty wiesz kobieto, co to znaczy stracić wiarę w ideał tak wysoko tą wiarą podniesiony? Czy ty wiesz, jaka rozpacz ogarnia człowieka, gdy ujrzy ów ideał zapadły w błoto? Jest to największa męka duszy i chyba taką muszą zadawać w piekle największym potępieńcom!

ŁUCYA. Jezu miłosierny!

JAN *(spokojniej).* Chcąc żyć dla mych dzieci, chwyciłem się jedynego na boleść lekarstwa — pracy, aby przez nią i im stać się pomocnym. Przed trzema trzema laty powróciłem do kraju, aby choć zdala czuwać nad memi dziećmi. Zmieniłem nazwisko, aby ci oszczędzić wstydu i żywego wyrzutu sumienia.

Syna wyrwałem z rąk tego człowieka, a z córką wiesz, co chciałaś dzisiaj zrobić. Boleść moją, mękę duszy mojej — przebaczam ci, ale, że to słodkie dziecko chciałaś wtrącić w niedolę, sprzedać dla ocalenia tego nikczemnika, codziennie cię myślą i czynem zdradzającego. Niechaj ci to pierwej Bóg przebaczy. Ja ojciec teraz nie mogę.

ŁUCYA. Wiem, że nie możesz, bo i ja nie mogę.

JAN *(uspokoiwszy się, po chwili)*. Co teraz myślisz począć? Pojmiesz, że dzieci biorę do siebie. Twój mąż przehulał cały twój własny majątek z podobnymi sobie przyjaciółmi i przyjaciółkami. Co myślisz robić? Sfałszowane weksle oddam twemu mężowi, abyś nie miała hańby patrzeć, gdy go będą wlekli do kryminału. Tobie wyznaczę przyzwoite utrzymanie i zostawiam ci tego męża.

ŁUCYA *(zrywając się)*. Nie, nie chcę! Nigdy! Nie chcę więcej widzieć tego człowieka; wolę śmierć!

JAN. Śmierć przychodzi nie na nasze zawołanie, ale kiedy ją Bóg raczy zesłać.

ŁUCYA. Moje postanowienie powzięłam od chwili, gdy pojęłam mą własną brzydotę moralną.

JAN. Jakie?

ŁUCYA. Dzisiaj jeszcze wstępuję do sióstr miłosierdzia, aby pokutą uzyskać kiedyś przebaczenie Boże; tej dzisiejszej dla mnie za mało!

JAN. Czy to twe niezłomne postanowienie?

ŁUCYA. Tak, niezłomne!

JAN. Nie chcesz, lub nie zapragniesz kiedy połączenia się z nim.

ŁUCYA. Oh, nie, nie, nigdy!

JAN. Czy mogę mu to powiedzieć od ciebie?

ŁUCYA *(składając ręce)*. Błagam o tę łaskę.

JAN. Dobrze, uczynię tak, jak chcesz. Kupię u niego pozwolenie wejścia twego do klasztoru.

ŁUCYA *(z radością podbiega, klęka na jedno kolano i całuje Jana w rękę).* Bóg ci zapłać! *(Wychodzi szybko).*

SCENA CZTERNASTA.

JAN *(wyciąga rękę za nią).* Niechaj ci Bóg przebaczy! A teraz trzeba z nim skończyć. *(Idzie do prawych drzwi, otwiera je i mówi).* Proszę pana!

SCENA PIĘTNASTA.

(KRAŃSKI wchodzi ze zwieszoną głową, zupełnie zrezygnowany).

JAN. Żona pana kazała mu powiedzieć, że wstępuje do klasztoru.

KRAŃSKI. Wiem, słyszałem stamtąd.

JAN. Tem lepiej, mniej będzie potrzeba i krócej mówić. Proszę, pójdź pan ze mną.

KRAŃSKI. Idę. *(Wychodzą).*

SCENA SZESNASTA.

(Wchodzi KRAŃSKA w kapeluszu i płaszczu. MARYA i JAŚ za nią ze smutkiem).

MARYA. Matko droga, czy twoje postanowienie jest niewzruszone? Czy ten dzień, tak dla nas szczęśliwy, nie może nim pozostać?

JAŚ. Czyż matko, odzyskawszy ojca, mamy stracić matkę?

KRAŃSKA. Dzieci drogie, tak musi się stać. Nie utrudniajcie mi pożegnania się z wami. Kochałam was, ale nie umiałam was bronić. Przeciwko tobie Maryniu zawiniłam najciężej, przeciwko obowiązkom

matki i przeciwko ojcu waszemu. Pokuta może zmyje me winy, więc idę ją spełnić.

MARYA. Matko, ale ty powrócisz do nas?

JAŚ. Matko, pobłogosław nas! *(Klękają)*.

ŁUCYA. Błogosławię was dzieci moje! Czy powrócę? Może — kiedyś, gdy ogień pokuty przepali grzechy moje, gdy poczuję w sumieniu mojem przebaczenie boże. Gdy dusza będzie już tak oczyszczona, że oczy moje będą śmiały bez wstydu spojrzeć w jasną twarz waszego ojca. Wtedy. — Kiedyś — może powrócę kołysać do snu dzieci wasze. Inaczej nie!

ZASŁONA SPADA.